odgłosy

NR 2 (306)
12. I. 64 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK ROK VII

W numerze: opowiadanie Jana Czarnego ● rozmowa z Leonem Gomolickim ● powiastki Jamesa Thurbera ● wiersze Jerzego Waleńczyka ● karnawał studencki ● Frejdlich o Cyganach ● Punch o starości mistrza ● Polonica

winda

JAN CZARNY

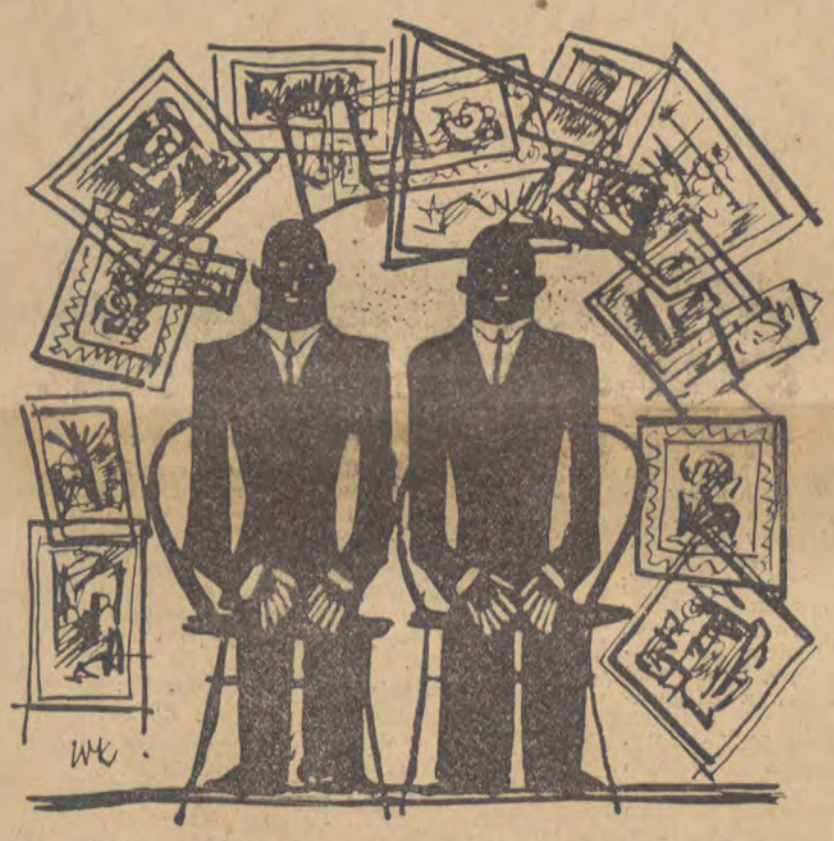

Bał się panicznie maszyn. Nawet młynka do kawy. Kiedy mnie odwiedzał, za nic na świecie nie wsiadał do windy. Sapiąc, piął się na najwyższe piętro. Koniec świata wyobrażał sobie jako kataklizm wywołany przez maszyny.

— W zaraniu naszej epoki — mówił — był bunt ludzi przeciwko maszynom, a teraz będzie bunt maszyn przeciwko ludziom. Od początku świata ludzkość kręci sobie sznur na szyję. Aż w końcu go ukręci.

Maszyny potęgują działanie czasu i tym samym przyśpieszają klęski.

O sobie zwykł mawiać:

— Nadaję się świetnie na urzędnika, bo nie mam poczucia czasu. Sam zresztą jestem czasem. Chodzącym czasem. A czas nie może być mierzony czasem. Tak jak metr nie może być mierzony metrem. A gram gramem. Do mierzenia i wartościowania potrzebne są przeciwieństwa.

Głosił powrót do natury. Kiedy zapadał na zdrowiu, stosował wodolecznictwo i gimnastykę. Łykał masę przeciwstawnych sobie pigułek.

Był urzędnikiem. Siedział od lat przy tym samym biurku pod portretami, które się co jakiś czas zmieniały. Nie zauważał tych zmian, jak i spraw, które się co jakiś czas zmieniały. Nie zauważał tych zmian, jak i spraw, które prowadził. Do jednej z wielkich szuflad wrzucał służbowe papierki, a do drugiej znaczki pocztowe.

Na znaczki obracał niemal całą swoja pensję, ale zajmowały go tylko przez chwilę, a potem ginęły w grobowcu wielkiej szuflady. Mylił państwa, skąd pochodziły, mylił wizerunki na znaczkach i ich wartość. Mówił, kiedy przychodziłem do niego w jakiejś sprawie:

— Mam piękne Tahiti z kolibrami i Alaskę z wielbłądami. Proszę sobie wyobrazić dwugarbne dromadery kołyszące się na tle śniegów.

Rył się długo w szufladzie, ale jak zawsze nic nie znajdował.

— Nie mogę nic znaleźć — mamrotał — ale mam tutaj cały świat. I to daje mi poczucie siły. Stwarzam nowe państwa, nowe strony świata, a nawet nowe klimaty. Śniegi przerzucam do Afryki, a tropikalne upały przenoszę na Syberię. To, co się nie udało pokoleniom uczonych, realizuję w ciągu paru sekund. Jeśli pan chce, pokażę panu znaczek z piramidą Cheopsa, ale jeśli pan sądzi, że to jest Egipt, to jest pan w błędzie.

Znowu pochylał się nad szufladą i znowu nic nie znajdował.

— Zresztą na co to panu — mówił — nie chcę pana wyprowadzać z błędu. Niech pan mi nie wierzy. Niech pan się nadal łudzi. Niech się panu zdaje, że ma pan rację. Przestać się łudzić, to znaczy przestać być szczęśliwym. Ja nie mam żadnych złudzeń. Wiem, że wszystko jest fikcją. Jestem na to za dumny, aby uznawać cudze konwencje. A więc stwarzam swoje własne.

Kiedyś przyszedłem do urzędu i zastałem go w stanie wielkiego zdenerwowania. Dygotały mu ręce i trząsł się na całym ciele.

— Czy skradziono panu kolekcję — zapytałem.

— Pan jest dziwny — odpowiedział — Jak można ukraść wyspy, kolibry, archeopteryksy i dorzecza. To i tak zostanie. To nie jest nasze. To stworzono, aby nas wprowadzić w błąd. Spotkało mnie coś o wiele gorszego. Ukradziono mi teczkę ze sprawami, które prowadzę. Przyjechała komisja i jeśli naczelnik nie weźmie mnie w obronę, nie wiem, co się ze mną stanie.

— Czego pan się boi — próbowałem go pocieszyć — pański zbiór filatelistyczny przedstawia ogromną wartość. Jeśli pan tylko zechce go sprzedać, będzie pan mógł żyć za to co najmniej dziesięć lat.

Nie dał sobie powiedzieć ani słowa.

— Wszystko na nic — krzyczał. — Nie ma znaczenia ani moja inteligencja, ani mój rozum, ani moje wykształcenie. Wyrzucą mnie, zgnoją mnie, i nawet nie zapytają, czy na Alasce są kolibry. Dokumenty mają swój bieg urzędowy. To nie to, co znaczki pocztowe lub motyle. Mam do pana prośbę, i mam nadzieję, że pan mi nie odmówi. Gotów nawet jestem dać panu za to Liberię z gwiazdą albo serię trójkątnych Tanganik z wężami.

— Nie zbieram znaczków — powiedziałem — ale zrobię dla pana wszystko, co w mojej mocy. Lubię ludzi z fantazją.

— To drobiazg — powiedział — a dla mnie wielka rzecz... Chciałbym do pana przyjść na herbatę z moim naczelnikiem. Żeby go przychylnie do siebie usposobić. Niech zobaczy pańskie obrazy. Niech się otrze o pańskie książki. Niech pooddycha atmosferą pańskiego pokoju, atmosferą sztuki. To mu dobrze zrobi. To mu zaimponuje. Będzie się czuł jak w siódmym niebie i będzie mnie bronił przed komisją. W ten sposób zrobi pan podwójnie dobry uczynek. Zbawi pan duszę ćwierćinteligenta i mnie pan ocali przed zgubą.

Zaprosiłem ich na wieczór. Kiedy zadzwonili na dole, zjechałem windą i przywiozłem ich na górę. Obaj byli wypomadowani i wyczyszczeni i niewymownie szczęśliwi. Zapach oleju i terpentyny w mojej pracowni mieszał się z zapachem brylantyny. On ciągle się uśmiechał i zacierał ręce, a naczelnik poprawiał krawat i kłaniał się.

Podałem kawę i ciastka, pokazałem wszystkie swoje obrazy i książki.

— Niech pan się nie martwi — powiedział do niego naczelnik pod koniec wizyty. — Wszystko będzie w porządku.

I byłem zadowolony, że sprawa przyjęła taki obrót. Po godzinie odprowadziłem ich do sieni, wsadziłem do windy i pożegnałem. Tym razem nie protestował. Mimo że zawsze bał się windy jak ognia. Sądził zapewne, że w ten sposób do reszty podbije serce naczelnika. Zatrzasnął drzwiczki i nacisnął guzik. Winda zsunęła się pół metra w dół, ale zagrzytała nagle i zatrzymała się. Nad podestem klatki schodowej w szybie dźwigu widać było tylko część oszklonych drzwi, a za nimi jak w cyrkowej klatce głowy naczelnika i jego.

Jego twarz zrobiła się nagle biała jak śnieg. Czoło pokryło się kroplami potu. A twarz naczelnika na odwrót, pokryła się cała purpurą. Zbiegłem ze schodów po dozorcę, aby coś zaradził, zanim będzie za późno. Kiedy wróciłem z nim po paru minutach, już z daleka usłyszałem krzyk:

— Ja pana nauczę. To wszystko było ukartowane. Ale nic z tego nie wyjdzie. Po coś mnie pan tu przyprowadził? Żeby mi się po nocach śniły bohomazy tego wariata.

On stał milczący, ze spuszczoną głową. Kiedy dozorca podciągnął stalowe liny i dźwig zrównał się z podestem, naczelnik wyskoczył z windy, zatrzasnął z hukiem drzwi i zbiegł po schodach. On wyszedł z windy powoli. Krok po kroku. Stanął pośrodku klatki schodowej. Otworzył usta, potem znów je zamknął. Wyjął z kieszeni chustkę, otarł pot z czoła i powiedział przyduszonym głosem:

— Przepadłem i już sie nigdy nie podniosę.

1962 rok.

HENRYK KATZ

CZY HISTORIA UCZY?

Przebywając niedawno w Londynie uczestniczyłem w ciekawym zebraniu grupy naukowców, którzy postawili sobie za cel zbadanie źródeł i przebiegu konfliktów w świecie współczesnym, w szczególności konfliktów wojennych. Organizatorzy tego przedsięwzięcia mieli na widoku nader praktyczne korzyści tych badań. Wydawało im się, że zbadanie warunków, w których wybuchają groźne dla ludzkości konflikty, może się przyczynić do ich eliminacji. Nie można mieć żadnych zastrzeżeń do takiego postawienia sprawy i ludzie o nader różnych przekonaniach winni w tym dziele uczestniczyć poddając swe hipotezy próbie szczegółowego badania i krytyki. Pierwsza dyskusja owej grupy — dość niespodziewanie — nie ujawniła jakiegoś podziału ideowo-politycznego. Natomiast uczestnicy podzielili się na dwa przeciwstawne obozy, które stoczyły ze sobą ostrą polemikę. Z grubsza — po jednej stronie byli historycy, a po drugiej tzw. political scientists, których w naszym języku najczęściej nazywa się socjologami polityki.

Historycy zaproponowali pewien plan badań nad wysuniętą tematyką. Sugerowali oni, by zająć się szczegółowym zbadaniem kilku ważnych konfliktów wojennych z dalszej i bliższej przeszłości. To pozwoliłoby na pewną syntezę, pewne uogólnienia i hipotezy robocze, które można by sprawdzić w dalszych badaniach. Jako historyk popierałem ten punkt widzenia. Lecz — ku pewnemu zdumieniu — rozpoczął się walny atak nie tylko na ów projekt, ale na nauki historyczne w ogóle. Oto krótkie streszczenie punktu widzenia „antyhistoryków"

„Historia w istocie niczego nie uczy. Fakty przez nią poznane mają charakter dużej przypadkowości. Historycy nie kierują się ważnością faktów, nie mają zresztą żadnego obiektywnego miernika ważności. Kierują się swymi zainteresowaniami, albo dostępnym im materiałem źródłowym, albo wymogami określonej ideologii, albo czyimś naciskiem — co nie sprzyja bynajmniej ani pełności odtworzonego obrazu, czy procesu historycznego, ani jego obiektywnej prawdziwości. Historycy zapuszczają — raczej na ślepo — swą sondę w bezmiar wydarzeń określonej epoki wydobywając zeń materiał cząstkowy, któremu nadają oczywiście rangę i wagę nieproporcjonalną do jego istotnego znaczenia. Lecz czołową rolę odgrywa interpretacja faktów, ich zestawienie i powiązanie z sobą, które jest zwykle subiektywne. Decydują o tym liczne uprzedzenia i postawy polityczne, od których przecież historycy nie są wolni. Historycy najczęściej dość świadomie spełniają różne funkcje „wychowawcze" i wyraźnie polityczne. Starają się na przykład tak skonstruować historię genezy wojny, by wykazać, że ich naród nie ponosi winy, albo że nurt polityczny, w którym uczestniczą, zajął najsłuszniejsze stanowisko. Historiografia jest więc stronnicza i apologetyczna, ma liczne funkcje użytkowe, lecz nie może pomóc w prawdziwym oświetleniu warunków stwarza-

dalszy ciąg na str. 2

odgłosy

w świecie

PROCES OŚWIĘCIMSKI

A więc stało się — Niemcy zachodnie mają swój największy proces przeciw byłym hitlerowskim oprawcom obozów koncentracyjnych.

Trzeba przyznać, że uczyniono wiele, by do tego procesu nie doszło: przez bez mała 20 lat kaci z Oświęcimia cieszyli się bezkarnością, uchodzili za przyzwoitych, ba!, wzorowych nawet obywateli, porastali w pierze prosperujących interesów handlowych i przemysłowych. I oto teraz, kiedy już niemal upłynął dobroczynny, 20-letni termin przedawnienia wybucha sprawa Oświęcimia.

Mimo całej grozy, jaką przesycone są wszystkie 17 000 stron maszynopisu zeznań 1 300 świadków oskarżenia, mimo makabry największego w swoim rodzaju — 700-stronicowego aktu oskarżenia — władze zachodnioniemieckie uczyniłyby i nadal czynią wiele, by proces ten, tak niewygodny i kompromitujący, zmienić w farsę.

I tak:

- oskarżonym, na których sumieniu ciążą setki udowodnionych morderstw — zezwolono na zeznawanie z wolnej stopy;
- nadprokurator Wolf — podobnie jak i inni rzecznicy oskarżenia — uznał za stosowne składać takie oto zadziwiające oświadczenia:

  „Oskarżonych jest tylko dwudziestu dwóch, bowiem nie mogliśmy przecież pociągnąć do odpowiedzialności każdego strażnika, który zastrzelił jakiegoś więźnia. Wyszukaliśmy więc tych 22 — wypadki naprawdę nieznośne (unerträgliche Fälle).
- Pierwsza runda procesu na chwilę tylko zatraciła swą beznamiętność: stało się to wtedy, gdy sąd gorączkowo szukał prawnych kruczków, by nie dopuścić do udziału w rozprawie przybyłego z NRD rzecznika powództwa cywilnego rodzin pomordowanych w Oświęcimiu.
- W pierwszych dniach rozprawy część oskarżonych nie stawiła się: zaświadczenia prywatnych lekarzy stwierdzały ich „zły stan zdrowia".

A mimo to proces przeobraża się w wydarzenie ogromnej wagi: opinia światowa, uśpiona dzięki zabiegom bońskiej propagandy, znów dowie się prawdy o niemieckiej przeszłości.

W poprzednim numerze „Odgłosów" naszkicowaliśmy sylwetkę jednego z oskarżonych — esesowca Wilhelma Bogera.

Dziś przedstawiamy pozostałych oskarżonych, o których głośno będzie przez wiele miesięcy. Oczywiście ich wina jednostkowa wydaje nam się tylko marginesem tej całej sprawy: każdy jednak z nich mógłby na swój sposób symbolizować Niemcy hitlerowskie.

Oto niepełna jeszcze galeria typów z procesu frankfurckiego.

Oswald Kaduk, Rapportführer, zasłynął ze szczególnego okrucieństwa i był postrachem całego Oświęcimia. Jeden ze świadków tak mówi o nim:

- Kaduk miał swoją metodę: powalał więźnia na ziemię i dusił go, stając mu na piersiach: w ten sposób zamordował dziesiątki ludzi".

Sanitariusze SS, Klehr, Scherpe, Hantl zabijali w obozie dzieci zastrzykami fenolu w serce. Dziś trudno nawet w przybliżeniu określić liczbę ich ofiar.

Były hauptsturmführer Hofman przeprowadzał tzw. selekcje do gazu. Jego wina nie budzi wątpliwości nawet u zachodnioniemieckich sędziów. Hofman jest zresztą spokojny: w innym procesie dostał już wyrok dożywotni — a zgodnie z ustawodawstwem Republiki Federalnej cięższy wyrok mu już nie grozi.

Rysunki więźniów z Oświęcimia: esesowcy Boger i Kaduk. Autor zginął w obozie. Rysunki stanowią dziś materiał dowodowy w procesie.

I PO LATACH

oskarżeni Boger i Kaduk (zdjęcia z materiału procesowego).

Udział w owych osławionych „selekcjach do gazu" brali nie tylko zezwierzęceni sadyści — SS-mani. Dr Victor Capesius jest człowiekiem kulturalnym i dystyngowanym. A jednak 11 czerwca 1944 to on właśnie przeprowadzał straszliwą „selekcję", skazując na śmierć setki niewinnych ludzi. Został wówczas rozpoznany przez więźniów pochodzących z Niemiec.

Nie zasiada na ławie frankfurckiego sądu obok tych i innych oskarżonych były komendant Oświęcimia, Ryszard Baer: zmarł on 17 czerwca 1963 roku w areszcie śledczym. Sprawiedliwość miała zbyt krótkie ręce, by dosięgnąć go wcześniej: podobnie i inni zbrodniarze z Oświęcimia przeżyli powojenne dwudziestolecie w dostatku i beztrosce.

- SS hauptsturmführer Robert Mulke, adiutant samego osławionego Hössa był znanym handlowcem;
- Boger, specjalista od mordowania strzałem w potylicę — prowadził prosperujący dom handlowy;
- Klaus Dylewski, specjalista od masowych morderstw pracował do ostatka jako inżynier dyplomowany;
- SS oberscharführer Gerhardt Neubert pracował do chwili aresztowania w administracji Bundeswehry.

Oskarżenie powołało w pierwszej tylko części procesu 350 świadków. Jest wśród nich i były więzień Emil Vulkan, który w 1945 roku z płonącego Wrocławia wyniósł plik akt Obozu Oświęcimskiego. — Stare papiery przemówiły po blisko 20 latach pełnym głosem.

Oto jeden z tych dokumentów:

„Dotyczy: transport Żydów.

K. L. Auschwitz (Oświęcim) melduje przybycie transportu w dniu 13. 3. 1943. Razem: 964 Żydów. Zdolnych do pracy 218 mężczyzn i 147 kobiet. Pozostali zlikwidowani.

podpisy, stemple"

CZY HISTORIA UCZY?

dalszy ciąg ze str. 1

jących współcześnie maksymalną groźbę dla ludzkości".

Nie zamierzam w tym miejscu referować kontrpropozycji „antyhistoryków", były one zresztą dość różnorodne. Niektórzy sugerowali np. analizę zachowania się osób na najwyższych stanowiskach w określonej sytuacji konfliktowej, inni próbowali szkicować pewne mniej lub bardziej uproszczone modele, jeszcze inni chcieli stosować tzw. teorię gry itp. Nie mając osobiście zastrzeżeń wobec najbardziej różnorodnych prób, które z różnego punktu widzenia, przy pomocy najrozmaitszych metod, mogłyby choćby cząstkowo naświetlić ten ważny problem, pragnąłbym stanąć w obronie możliwości tkwiących w metodzie proponowanej przez historyków. Nie będę się przy tym zastanawiać nad szerokim zagadnieniem „do czego służy historia". Jest to sprawa z grubsza znana, a pozytywne i negatywne funkcje historiografii były niejednokrotnie dyskutowane i analizowane. Ograniczę się tylko do ponownego przemyślenia, czy historia jest rzeczywiście „mistrzynią życia", czy uczy ona czegokolwiek. A jeśli tak, to czego. Oto moja — dość skrótowa — odpowiedź na wyżej sformułowane zastrzeżenia i krytyki.

Prawdą jest, że nie można po historii spodziewać się zbyt wiele. Jest to nauka stosunkowo młoda, a kryteria i metody w niej stosowane nie są do tej pory poza sferą przemyśleń i dyskusji, choć są one mniej chwiejne i płynne niż np. kryteria i metody szeregu innych, znacznie młodszych nauk społecznych. Historia najczęściej wykazuje i wykazać winna swą ogromną użyteczność i płodność we współpracy z innymi naukami w szczególności ekonomią polityczną i socjologią. Najważniejszy jest problem ważności faktów, zdarzeń, procesów, którymi się zajmuje historyk i w tym względzie działa często widzimisię autora, ukształtowane niejednokrotnie pod silnym wpływem i naciskiem środowiska (względnie środowisk), do którego przynależy. Lecz odnalezienie obiektywnego kryterium nie jest poza zasięgiem możliwości, a w istocie zbliżyliśmy się doń bardzo poważnie. Historycy różnych tendencji i przekonań skłonni są coraz bardziej pojmować historię jako dzieje całych społeczeństw, a nie tylko ich elit lub kierowniczych jednostek. Skłonni są też coraz bardziej widzieć historię w wielu płaszczyznach. Znika homo politicus czy homo oeconomicus, a na widowni historii występują ludzie, którzy tworzą i konsumują dobra materialne i duchowe, tworzą państwa i armie, dokonują wynalazków, hołdują kultom i ideom, zachowują się mądrze i głupio, ujawniają ogromne potencje dobra i zła. Tak podchodząc do zjawisk historii w coraz mniejszej ilości spraw, spieramy się co do wagi tego lub owego faktu. Niejednokrotnie zjawiska mało ważne i niedostrzegalne w pewnym momencie, czy okresie historii, okażą się nader ważne, gdy spojrzymy na nie z pewnej perspektywy. A więc o ważności faktów decyduje nie tylko spojrzenie statyczne, ujęcie ich w konkretnym kontekście, ale i spojrzenie perspektywiczne, w wymiarze dłuższego okresu czasu.

Czy fakty są „przypadkowe", czy historia jest chaosem i kłębowiskiem wydarzeń, będących rezultatem wolnej gry różnych i przypadkowych sił „wolnej woli" wielkich ludzi, irracjonalnych wybuchów mas? Tak może się wydawać tylko pozornie. Historia rzeczywiście tryska życiem i jest przebogata w zaskakujące fakty i czyny, często jest paradoksalna, osiągnięcia przeczą nieraz ludzkim zamiarom, a te nie zawsze ludzie wyraźnie uświadamiają sobie. Dzieje tworzą ludzie, wielcy i mali, lecz pełni barwy i polotu, o skomplikowanych charakterach, ulegający tak samo wyrachowaniu i rozsądkowi, co irracjonalnym impulsom, czasem szaleństwu, nieraz demonowi zła i niszczenia. Lecz podobnie jak pozornie chaotyczne krople wody tworzą jednolity strumień w potok idący pewnym łożyskiem, podobnie i w historii — na im większą skalę rozpatrujemy życie społeczeństw — dostrzegamy określone konieczności wydarzeń, i prawidłowości rozwoju. Czy przypadkowym jest stale narastający proces opanowywania przyrody przez człowieka, wydzieranie jej tajemnic, czy nie widać dość specyficznego dla współczesności przyśpieszenia tego procesu? Czy nie widać jak ludzie wśród ogromu trudności i zmagań zmieniają swe instytucje i stosunki dostosowując je do osiągniętego stopnia zdobyczy technicznych? Czy trudno dostrzec proces wyniesienia się uciskanych klas i narodów korzystających z możliwości rozwoju cywilizacyjnego?

Równocześnie historia uczy, że ludzkość nie stoi w miejscu. Zmieniają się warunki życia i konfliktów w nim zawartych. Kto tkwi w starych nawykach myślowych, kto żywcem przenosi doświadczenia dnia wczorajszego na dzień dzisiejszy ten błądzi podobnie jak człowiek, który nie dostrzega w historii nic innego prócz łańcucha szaleństw i zbrodni albo nic innego prócz jednostajnego cudownego „postępu". Wniosek nasz jest więc następujący: historia uczy i może nauczyć nas wiele. Jeśli poznamy warunki, w których rodziły się straszne konflikty dnia wczorajszego i jeśli dobrze przypatrzymy się zmianom dokonanym współcześnie uzyskamy odpowiednie dane by unicestwić istniejące groźne niebezpieczeństwa. Dane te przydadzą się nie tylko wielkim mężom stanu, ale wielu milionom prostych ludzi, gdyż historia uczy i tego, że masy odgrywają większą niż kiedykolwiek przedtem rolę. Ale tego twierdzenia nie mogę już z braku miejsca rozwinąć, niech więc czytelnik jeśli zechce uwierzy mi na słowo.

HENRYK KATZ

KUNITZEROWSKI GARB

Niski drewniak, sczerniały od mrozów i deszczów, pamięta czasy, gdy w „gorodie" Łodzi mówiono w trzech językach, czwarty był urzędowy. Drewniak jednym oknem spogląda na grządki pana Aleksandra, drugim na staw, trzecim na mury dalekiej „Niciarki". Na co jest skierowane jego czwarte okno? Drewniak zasłonił je kotarą i przymknął.

Może po to, by nie widzieć końca swoich dni?

Bo ten koniec zbliża się ze wszystkich czterech stron, najbardziej jednak z tej czwartej, od ulicy Kazimierza. Domek, w którym mieszka pan Aleksander, widział niejedno, lecz więcej widziała pani Zofia. Chałupa jest ostatnia przy Niciarnianej, za nią już tylko pola, ta chałupa przeżyła 70 lat, pani Zofia przeżyła 77. Pan Aleksander choć też emeryt, nie widział na własne oczy jak kopano fundamenty pod domostwo z polnych kamieni, desek i gliny. Pani Zofia widziała.

Domek jest kunitzerowski.

Więc w środku ma schody na strych, na strychu ma izby, w każdej izbie ma jedną rodzinę dzieciaka. Zawsze tak mieszkano na Widzewie od czasów, zdawać by się mogło niepamiętnych, to jest od chwili, gdy Herr Kunitzer zaczął stawiać nową tkalnię przy niej 60-metrowy komin, który oświetlił elektrycznym światłem. Ludzie przystawali, zadzierając głowę. Patrzyli tylko na jaką wysokość 60-metrową wspiął się Herr Kunitzer. Czegoś podobnego nie było jeszcze w mieście Łodzi, istna osobliwość.

Domek kunitzerowski to czworak folwarczny, nabity ludźmi, od dołu do góry, po sam dach. Sto lat i sto chat, mości dobrodzieju. — Kunitzer wystawił 150 chat dla swoich robotników. Przywiązał ich do siebie łóżkiem przy piecu i belką nad łóżkiem.

Część z tych domków już zwalono. Gdy 3 lata temu rozeszły się wieści, że lada dzień ma runąć pierwszy domek, ludzie powstali na Widzewie i oznajmili w Radzie:

— Nie ruszymy się stąd. Jeśli będzie trzeba, pójdziemy do Tatarkówny... Ona zrozumie chyba, o co idzie naprawdę? Bo nie idzie o chałupinki drewniane, jeśli je diabli porwą, idzie o to, że na Kazimierza, Niciarnianej, wszędzie dookoła, robotnicze rodziny są osiadłe od pokoleń. Tu ludziska się rodzą, żenią, pracują, umierają. Tu chcą mieszkać, tu pozostać i żadna siła ich stąd nie ruszy, żeby nie wiem co.

Emeryci, którzy zostawili młodość i zdrowie przy krośnie dodali:

— Nie ruszymy się krokiem, bo Zarzew przez miedzę.

Wszyscy uderzyli w jeden ton, mowy być nie może, by ktokolwiek miał się przenieść z wilgotnych izb drewnianych, do bloków na Żubardziu, czy gdzie indziej na Bałutach. Mają czas, poczekają. To nic że Widzew taki brzydki, że pełno dziur i błota na ulicach, że parkany, puste place i rudery. To nic, że szpetota bije z tych ruder na każdym kroku i może wstrząsnąć człowiekiem. To ich Widzew, zostaną tutaj. Zresztą ten pierwszy blok, który powstaje przy dawnej siedzibie Kunitzera, ma być gotowy już w zimie.

Więc poczekają tych parę miesięcy.

Postawili na swoim, mieszkają w bloku nr 7, tym pierwszym, a także w 19 innych blokach, które przez ten czas pobudowano. Exodus z kunitzerowskich domków zaczął się całkiem niedawno i trwa po dziś dzień. Już 120 rodzin wyszło z drewniaków do osiedla Widzew—Zachód. Za rok, dwa, pokryją kilkupiętro we domy cały obszar od Konstantynowskiej do mostu przy Rokicińskiej, obszar kilometrowej długości i 400-metrowej szerokości. Stanie tu 41 budynków dla 6500 osób.

Nowa dzielnica posuwa się na ukos przez stary Widzew, burzy na swej drodze familijne domki.

Jest to przedsięwzięcie tyleż ambitne, co kosztowne, pochłonie 300 milionów złotych.

Po powrocie z Zarzewa, pan Aleksander od razu kieruje się na Kazimierza i na inne ulice, przy których stoją dźwigi, buldożery, sprzęt różnoraki. Dostrzega, nie on jeden, że łobuzy łamią stolarkę, tłuczą szkło na okna, dostrzega, że przy wykopach jakiś młody dureń przeciął kabel, że dranie montują płyty z prefabrykatów byle jak i szpary zostają w ścianach, jak ten palec.

Pan Aleksander idzie z budowy wprost do „szefowej", to jest przewodniczącej dzielnicowej rady, żeby się wykłócić jak należy.

Powiada, że łobuzy niszczą budulec, zwrócić uwagę, to oni w śmiech i jeszcze sobie żarty stroją ze starego człowieka. Powiada, że dachy przeciekają w drewniakach, że przydałby się jeszcze jeden plac zabaw dla dzieciaków. Wreszcie jak ów rzymski senator kończy rozmowę z „szefową" zawsze tym samym zwrotem:

— Poza tym uważam, że autobus na Zarzew jest rzeczą konieczną i że bez autobusu nie możemy się już obejść żadną miarą.

Pani Zofia mogłaby jeszcze dorzucić, że dla niej to marnotrawstwo na budowach jest niepojęte, bo ona pamięta, że jako dziecko zbierała nawet wióry do fartucha. Jakie wióry? Zwyczajne, pan Wegner ze składu drzewa budował domki dla pana Kunitzera, więc mamusia wysyłała ją na Niciarnianą, żeby wióry zbierała do fartuszka. Ale o te wióry wcale nie było łatwo, bo wszyscy je zbierali i na budowie było czysto jak w jakiejś aptece. Co do Kunitzera, to może pokazać jego zdjęcie na tekturze, które lata przetrwało, a wygląda jak nowe. Pan Kunitzer lubił rozdawać fotografie z okazji jubileuszów, jakby przeczuwał jaki go czeka koniec i rozdawał je na pamiątkę.

Rzeczywiście, ze zdjęcia patrzy twarz jak żywa, brodata twarz mężczyzny o bardzo bystrych oczach.

Kunitzer był jednym z wąskiego grona łódzkich milionerów.

Dopiero hulał szubrawiec, co? Prosze wybaczyć, ale Kunitzer nie pił przez cały dzień szampana, bez przerwy nie zajadał ostryg z Ostendy, nie wyprawiał bezeceństw i nie urządzał orgii. Na robocie się znał, skandali nie cierpiał, raz w roku wyjeżdżał do Kissingen albo do Karlsbadu, z rodziną wyjeżdżał jak Pan Bóg przykazał. Lubił też sobie porozmawiać z robotnikiem. Taki był, a nie inny, i było mu z tym dobrze, nawet bardzo dobrze.

Pani Zofia dobrze go pamięta, gdy skończyła 12 lat poszła do roboty na jego przędzalni. Stała przy warsztatach po 12 godzin dziennie, bacząc, żeby „nić była długa, nieostra, czysta, mocna, miękka i niby srebrnego koloru". Z jakaż ochotą pracowała wtedy dla Herr Kunitzera.

Cóż to jednak szkodzi wybiec myślą poza krąg spraw dzisiejszych, tyle różności działo się wtedy.

Sklepy w śródmieściu polecały astrachański kawior marcowy i pończochy diamentowo-czarne. W bramach grali czescy i włoscy kataryniarze. Pan Adolf Forster nabył od pani Teofili Schmidt dom przy ulicy Zawadzkiej za 17 tysięcy rubli. Natomiast pan Józef Dziekoński aeronauta wzniósł się w Helenowie balonem na 5 tysięcy stóp i opadł powoli na ziemię na rozpiętym spadochronie...

Pani Zofia milczy, zastanawia się. Dobrze by jednak było, aby ten domek z tamtych, dalekich czasów, postał jeszcze jak stoi, bo ona właśnie, w tych czterech ścianach chciałaby dokończyć żywota. Wkoło tak przyjemnie, swojsko, tak domowo, nigdzie nie może być lepiej. Kwiatki w ogródku, gęsi w komórce; czego więcej trzeba człowiekowi? Pewnie, że młodzi, są inni, ciągle w ruchu, gonią za czymś i gonią. Pilno im, bo widzieli u znajomych w blokach klepki nie klepki, kaloryfery, ciągnie ich do suchych pokoi, choć za te wygody trzeba płacić 200 złotych miesięcznie i więcej, a w tym domku płaci się grosze za izbę jedną z kuchnią.

Kłopot tam, myśli pani Zofia.

Co do Kunitzera to został zastrzelony w 1905 roku przez bojowników. Czy aby na pewno został zastrzelony? Był ponoć człekiem ludzkim, nie ubierał się krzykliwie i lubił czasem porozmawiać z robotnikiem. A czy mądry pan nie dba o swego konia? Tylko głupi pan nie dba o konia. Pani Zofia pamięta jak dziś, że Kunitzer został zastrzelony. To był dzień, którego nie zapomni, bo wypłacono jej wtedy „dubeltową" tygodniówkę i kupiła nową chustę za całych 6 rubli.

Stare to dzieje, przebrzmiałe, a wahadło czasu bije bez przerwy.

Przechodniu, wiosną znów ujrzysz na Niciarnianej starców o kiju, staruszki bez kija. Codziennie wczesnym rankiem starzy ludzie będą kuśtykać przed siebie na Zarzew, każdy kilometr będzie się liczył dla nich potrójnie, tych kilometrów jest kilka. Pójdą na Zarzew, by złożyć świeże kwiatki z ogródków na grobach najbliższych. Pokłonią się tym, którzy przed nimi żyli w domkach drewnianych na przyfabrycznym wydmuchu i którym nigdy na myśl nie przyszło, że pewnego dnia nowoczesne miasto podejdzie do tych domków i obróci je w pył.

Rzecz zastanawiająca. Widzew, najbardziej czerwone przedmieście ze wszystkich czerwonych przedmieść Czerwonej Łodzi, ten Widzew zachował po dzień dzisiejszy swą kunitzerowską postać. Dopiero teraz Widzew puścił się w pogoń za całą resztą Wielkiej Łodzi, która od lat rozrasta się we wszystkich kierunkach.

Widzew miał garb od urodzenia, kunitzerowski garb. Jeśli jakiś utalentowany reżyser zamierza kręcić film o narodzinach przemysłowej Łodzi, niechaj się pospieszy. Garb jeszcze istnieje, więc mógłby film nakręcić w autentycznym plenerze. Tym plenerem jest stary Widzew. Wkrótce już go nie będzie.

JAN BĄBIŃSKI

BARBARA GLUTH: BIAŁY CZŁOWIEK W CAPETOWN

— Jakie to wiatry rzuciły Panią na wody Oceanów: Atlantyckiego i Indyjskiego? Kto Panią witał na Przylądku Dobrej Nadziei?

— W Capetown — mieście „wciśniętym" między trzy góry (Table Mountain, Lion's Head, Davils Hill) i dwa oceany powitał mnie pomnik: wysoki pan w szerokim kapeluszu. Bardzo przystojny pan. Podniosłam rękę i zawołałam: Jak się masz, Jasiu! Trzymasz się świetnie, stary!

— Jasio? W Południowej Afryce?

— Legenda mówi, że w XVII wieku niejaki Jan Rybka — rozbójnik musiał uciekać z Polski, bo liczne wyroki gwarantowały mu trzykrotne, co najmniej, dożywocie. Pojechał do Holandii ale i tam nie myślał o uczciwym żywocie. Tak więc ścigany znów wyrokami zebrał grupę kompanów i postanowił dopłynąć do lądu indyjskiego. Ale silne prądy morskie zaniosły statek zupełnie gdzie indziej — na Przylądek Dobrej Nadziei. Jan Rybka (Jan von Riebeeck — jak zwano go w Holandii) wyszedł na ląd i na pustkowiu, na wąskim pasku ziemi między górami i dwoma oceanami założył Capetown. Kompani wyruszyli na Wyspę św. Heleny i przywieźli stamtąd kobiety — Murzynki. Tak powstała warstwa „Coloured" — czyli: kolorowych.

— Znany w świecie już niemal „symboliczny" jest południowoafrykański rasizm. Czy „kolorowi" mają jakieś inne niż Murzyni prawa? Czy korzystają z pewnych przywilejów?

— Sami „kolorowi" uważają, że są „lepszą rasą" (spokrewnieni przed trzema wiekami z białymi!), ale biali traktują ich w sposób identyczny jak Murzynów. Czarni i kolorowi nie mają prawa mieszkać w tej samej dzielnicy co biali. Jeżeli biały pan ma kolorową służącą jest ona albo dochodząca — na noc wraca do dzielnicy czarnych — albo, jeżeli pan dostał specjalne pozwolenie mieszka przy domu pana w dobudowanej komórce lub na stryszku, tam gdzie dach domu jest ścięty. Czarni i kolorowi nie mają prawa wchodzić do lokali publicznych i restauracji. Mogą tylko wejść do tzw. bufetu i kupić cool-drink. Ale żeby ten zimny napój wypić muszą już wyjść na dwór. Pewna biała miliarderka zakochała się w młodym Murzynie. Ktoś ich wyszpiegował. Po Murzynie przepadł ślad, a miliarderkę skazano na karę 5 lat więzienia. Miliardy nie pomogły. Paul Robeson podróżując po Afryce nie śpiewał tylko w Republice Południowo-Afrykańskiej. Po prostu nie miałby gdzie spać. Hotele są wyłącznie dla białych, a dla czarnych w ogóle hoteli nie ma. W szpitalu dziecięcym w Capetown pielęgniarka nie śmie podejść do łóżeczka, w którym zaczęło płakać czarne dziecko. Pewna Polka, pielęgniarka w tymże szpitalu, po wielu latach cierpliwej walki odniosła wielki, jak na tamte warunki, sukces: czarne dziecko może podejść do białej pielęgniarki i nawet usiąść na jej nodze... poniżej kolana.

— Jak długo była Pani na Przylądku Dobrej (co za ironia...) Nadziei?

— Cały rok. Ale za krajem tęskniłam już po niespełna dwóch miesiącach. Kiedy wróciłam wreszcie do Łodzi pobiegłam na Piotrkowską, Wólczańską, Andrzeja... Co za radość!

Rozmawiała: **H. B.**

KONRAD FREJDLICH

newo drom isy pcharo drom

Nowa droga jest ciężką drogą. Dla Teodora Mutto, Cygana, który ma trzydzieści albo trzydzieści jeden lat, sam nie wie dobrze ile, bo się urodził w czasach, kiedy tacy jak on doskonale obywali się bez metryk,i **newo drom isy pcharo drom**, najcięższą z najcięższych, ale dla jego synka Michasia... Kto za nim trafi, za tym malcem ze świdrującymi oczkami. Ma tę przewagę nad ojcem, że nie tylko wiadomo k i e d y się urodził, ale nawet g d z i e, a to już najbardziej sprawdzalny dowód stabilizacji. Trzęsący wóz z budą jest dla chłopca zaledwie wakacyjną przygodą, no, powiedzmy, letnią przygodą, bo jeszcze nie chodzi do szkoły. Pozostała trójka dzieci Teodora Mutto uczy się i to nie najgorzej, na razie w szkole podstawowej, ale na tym się pewnie nie kończy, tak mówi Mutto ojciec. Część jego trudów wzięły na siebie i te dzieci, chociaż niezupełnie świadomie, ale tak już jest, kiedy się idzie nową drogą, więc wysiłek jest jak by rozłożony na całą rodzinę. Z początku koledzy ze szkoły nazywali ich Cyganiątkami, a przecież Cyganiątka mają swoje imiona, teraz mają już dla wszystkich, nie tylko dla ojca i tak jest o wiele lepiej.

Latem Mutto zabiera wszystkich na urlop, na szlaki, które od stu lat z okładem przemierza po Polsce szczep Lowari. Czasem tak, taborem, bo ma się tych krewnych, gdzie on ich zresztą nie ma. To są dwa albo trzy tygodnie w roku, więcej nie da się wykręcić w spółdzielni, bo jest dużo zamówień i zawsze pilna robota. Kim są Lowarowie? Jak wskazuje sama nazwa członkowie tego klanu trudnili się handlem końmi, wodzili rej na wszystkich, możliwych jarmarkach, zawsze gotowi do najbardziej zadziwiających transakcji poczciwymi czworonogami. Niełatwą do opanowania sztukę przynieśli ze sobą z Siedmiogrodu, nie znali się na polityce, tylko na wałachach i kobyłach, i to wystarczyło. Dziś handel końmi stracił na znaczeniu, a przypowieści z czasów, kiedy przypadał jego najbujniejszy rozkwit, straciły na ostrości. Sam zresztą, na własne oczy, widziałem kiedyś kryty wóz cygański ciągniony przez traktor. Cóż my w końcu wiemy o Cyganach poza obiegowymi, utrwalonymi mitami? Mitami, które rozwijał w swojej książce, Jerzy Ficowski, ale boję się, nieskutecznie, przy 5000 egz. nakładu, wyczerpanego od dawna. Naszą wiedzę urabiają wróżbiarki spod Dworca Fabrycznego i gdzieś tam zachowane w pamięci sensacje o elekcjach cygańskich „królików" i „królów".

Teodor Mutto jako siedemnastoletni albo osiemnastoletni chłopak, ta niepewność nigdy go już chyba nie opuści, rozstał się z życiem obozowym, zrezygnował z przygody na rzecz jeszcze większej chociaż dla Cygana trudniejszej przygody musi myśleć o dniu jutrzejszym. Oni, ci koczujący, na szlaku nie potrzebują, bo dla nich dzień jutrzejszy jest taki sam jak wczorajszy, sam przychodzi i sam mija. Utrwalają się tylko zdarzenia najwyższej wagi, a i z nich nie muszą zdawać przed nikim rachunku, a już najbardziej przed sobą. Dla Teodora Mutto czas zaczął się liczyć 13 lat temu, wtedy właśnie osiedlił się na stałe, co prawda, nie od razu w Łodzi, ale to nie najważniejsze gdzie, bo istotne jest to tylko, że od tamtej chwili musi zdawać sobie sprawę z biegu tego czasu, czy jest z nim czy przeciw niemu i jego rodzinie. Ma to, czego nie posiadają trzy czwarte jego współplemieńców, umocowany na stałe dach nad głową. I wszystkie atrybuty stabilizacji połączonej ze współczesnością, radio i adapter, telewizor, telefon wreszcie. Zgromadzono je na maleńkiej przestrzeni, jak to zwykle bywa w nowym budownictwie, ale za to lepiej rzucają się w oczy. Od razu wiadomo, ile człowiek bierze od cywilizacji, a ile daje z siebie na jej rzecz. Ten rachunek ostatecznie nie wypadnie z krzywdą dla Cygana, ale nie jest to taki oczywisty rachunek. Wiedzą o tym najlepiej ci, którzy od lat próbują różnych form osiedlania tego narodu, zdawałoby się, stworzonego do włóczęgi po wszystkich drogach świata. Słynna uchwała Prezydium Rządu z 1952 r. otworzyła na nowo ten problem, ale bynajmniej nie rozwiązała, bo go się nie da rozstrzygnąć przy pomocy najbardziej zgrabnych artykułów i paragrafów, zdecydowana większość Cyganów to wciąż jeszcze analfabeci, a jakiekolwiek odstępstwo od tej zasady jest uważane przez starszyznę rodową za czyn niemal tak hańbiący jak spożycie psiego czy kociego mięsa. Stoją za tym całe wieki tradycji mającej w sobie coś z tabu, już to coś z magii. Złożony system przesądów, których tak doszczętnie trudno jest się wyrzec nawet tym najodważniejszym, zasługującym w oczach pobratymców na doczesne potępienie.

Nalot nawyków nie jest rzeczą łatwą do wyperswadowania, zwłaszcza w krótkim okresie czasu. Jego ślady zostały i u osiedleńców, u tych największych rewolucjonistów, którzy jednym wyrzeczeniem przeskoczyli etapy ustrojowe, od wspólnoty rodowej do socjalizmu, chociaż takie słowa jak polityka i ustrój społeczny nie weszły jeszcze do ich codziennego języka. Z początku trudno jest zrozumieć dlaczego trzy bloki „cygańskie" nad rzeką Jasień, z pominięciem wszelkich ekonomicznych rachunków, nie wzniosły się ponad parter, wprawdzie wysoki parter, ale to w niczym nie zmienia tego faktu. Zwłaszcza, że obok wyrosły inne bloki, wielkomiejskie, do których wzrok nasz już się przyzwyczaił, które są do siebie niekiedy tak podobne, że prawie anonimowe. Mutto wyjaśnia krótko, ale nieściśle: — Tak nakazuje nasza religia. Nieściśle, ponieważ nie ma odrębnej religii cygańskiej, a koczujące plemiona przyjmowały wiarę kraju, w którym się znalazły. I widać, że czuje się zakłopotany, bo wie doskonale, że się tamtą uwagą podłożył, dał się uchwycić z przesądem. Bąka coś o kobietach, które nie mogą znaleźć się nad głową mężczyzny, wiara tego zabrania, uporczywie wraca do słowa religia, bo jest dostatecznie niekonkretne, ale jego żona, którą znam ze ślubnego portretu, wiszącego nad stołem przystawionym do ściany ani razu nie zajrzała do pokoju, chociaż na pewno wiele potrafiłaby wnieść do tej rozmowy. Żona Mutto jest reprezentowana przez ojca, którego wygląd odpowiada bardziej naszym wyobrażeniom o Madziarach niż Cyganach. Ale i on nie mówi za wiele. Wyraźne przeszkody językowe, nie jest zasymilowany w tym stopniu co zięć i Mutto musi mi raz jeszcze tłumaczyć, co mówi stary.

Są to pretensje pod adresem projektantów mieszkań dla Cyganów, sam się pan przekonał, że klatka schodowa nie jest ogrzewana, a tego być nie powinno. To już nie jest na lata teścia Teodora Mutto i wreszcie nie po to się człowiek wycofuje z wędrownego życia, żeby mu wiatr dmuchał w nos, no chyba nie po to. Czuje się w pewnym stopniu ocyganiony przez cywilizację, której zaufał. I to jest bardzo ludzkie, że stary będzie do końca życia gromadził dowody przewrotności cywilizacji i umrze ze świadomością, że dał się jej podejść. Zresztą nie od razu miał do czynienia z cywilizacją w pełnym jej zakresie, nawet jak na nasze skromne, polskie warunki. Pierwszym ich mieszkaniem w Łodzi był barak przy ul. 3 Maja, bez światła i wody, nawet studni nie było i dopiero na własny koszt zaczęli ją kopać, wspólnym wysiłkiem, bo tam się osiedliło kilkanaście rodzin. Nikt się nie wyłamał ze składki, elektryczność też założyli, a jakże, bo już nie chcieli żyć po cygańsku. Rok temu przenieśli się do nowych mieszkań, bo władze same się przekonały, że warto je dla nich wybudować. No, i tu znowu musieli zakładać na własny koszt wanny i inne urządzenia sanitarne, zresztą nie wszyscy się na to zdobyli, bo nawet jak chcieli wyłożyć pieniądze, to z kolei DBOR nie zapewniał fachowców, nie bardzo im się opłacało. W tych blokach mieszkają rodziny pracowników spółdzielni, wszystko to ludzie z „Nowej Drogi", barak przy ul. 3 Maja też nie stoi pusty, zajęli go Cyganie, przyjezdni, ale wozów jeszcze nie sprzedali, więc kto wie czy ich na wiosnę nie poniesie, bo wozów jednak nie sprzedali. Chociaż to by była wielka strata, bo spółdzielnia potrzebuje rąk do pracy. Owszem, tak, inwestycja. Taka hala do produkcji, bo na razie wszelkie roboty prowadzi się pod dachem pana Boga. Po prostu żadnego pomieszczenia, klientów przyjmuje się też po mieszkaniach, jak wypadnie. Przeważnie pracują dla Zakładów Mięsnych Łodzi i Pabianic. Bielenie kotłów, głównie właśnie pobielanie naczyń. Więc ogień puszcza się na metal, to prawie wszystko, prócz tego, że w tych warunkach żar przypieka twarz, a w plecy znowu dmucha wiatr, a to może złamać najmocniejszego, łatwo się zaziębić. Mutto jest wprawdzie członkiem zarządu spółdzielni, ale najlepiej zna wszystkie sprawy Tadzik Kołodziej, kierownik, jedyny Polak i jeszcze szofer. Cyganie są w przewadze, ponad trzydziestu na tę dwójkę. Rozmowa z Kołodziejem? Chyba przez telefon, jest w tej chwili z ludźmi, bo nawet przy niedzieli pracuje się jak trzeba.

Jest to szósty rok istnienia spółdzielni. Przez wiele lat była jedyną tego typu w Polsce. Owszem były próby zakładania, ale nic z nich nie wyszło. Mutto sam należał do takiej jednej jeszcze w 1950 r. w Legnicy. Dlaczego upadła? Był wtedy wprawdzie bardzo młody, ale co nieco przecież zauważył. Po prostu spółdzielnia nie wytrzymała konkurencji z prywaciarzami. Z Cyganami niezrzeszonymi. Nie żeby tamci robili lepiej, tylko, że dla spółdzielni nie było roboty. Prywaciarz zawsze mógł odpalić fuchę dla zleceniodawcy, a spółdzielnia już nie miała takich możliwości, więc najlepsza robota uciekała przed nosem. Po trzech miesiącach zobaczyli, że splajtują, postanowili się rozejść i podjąć robotę na własną rękę, jeszcze były kłopoty z oddaniem koncesji.

Czułem się wtedy chyba tak, jak Mutto, kiedy mi zawile wyjaśniał zasady jego religii. I jestem pełen uznania dla jego taktu, bo udawał, że nie dostrzegł tego zakłopotania. Może zresztą nie zauważył naprawdę. To już było pod sam koniec wizyty w jego mieszkaniu. Powiedział wtedy: — Cygan to jest handlarz koni, muzyk, albo kotlarz. On sam jest kotlarzem, ale czy to jest sprawiedliwe, że Cyganie są skazani na te trzy zajęcia, jeśli chcą żyć uczciwie, no i wróżbiarstwo, chociaż nasze kobiety już nie wróżą. A są przecież wśród nas ludzie zdolni, jak choćby Papusza, widzi pan, że słyszałem o Papuszy, cygańskiej poetce, a o Jerzym Ficowskim słyszałem tak samo. Tylko, że dla nas nie było możliwości. Zresztą sami tego chcieliśmy, bo tak chcieli dziadowie i ojcowie. A moje dzieci, przecież są szkoły i uniwersytety. Cyganie sami najwięcej tracą na tym, że jeżdżą. Chociaż czasami przychodzi coś takiego na człowieka, że też chciałby pojechać. Więc bierze się ten urlop i wtedy czuje się, że tam, w tym nieruchomym domu też coś zostało i to też ciągnie, bardzo ciągnie. A na miejscu wciąga robota.

DAWNE DOBRE CZASY

ODCZYTY W ŁODZI?...

W niedzielę po południu (30. XII. 1900 r.) w Teatrze Sellina odbyła się nareszcie dwukrotnie odkładana pogadanka popularna p. Bolesława Londyńskiego pt. „Humor i satyra". Autor wywiązał się z zadania ku zupełnemu zadowoleniu słuchaczy, którzy jednak, zwłaszcza pod koniec zajmującego wykładu, uczuwali pewne znużenie i senność... Nic dziwnego — odczyt nie jest operetką ani farsą, a dla Łodzi rzecz literacka, choćby nawet opracowana tak dowcipnie, jak wczoraj, na długie czasy jeszcze musi niestety — pozostać dziwolągiem, z którym się powoli dopiero oswajać trzeba...

„Rozwój", rok 1900

GRAFOMAN Z BAŁUCKIEGO „GŁOSU"

Plagą redakcji pism łódzkich, a nieraz i czytelników są grafomani. Species ten niestety za mało jest znanym psychiatrom; przeciętny więc grafoman grasuje bezkarnie. Tyranizuje redaktorów i sekretarzy redakcji, wzbudza uśmiech politowania znajomych, którym odczytuje w mieszkaniach, na schodach, na podwórzach, na akademiach i innych lokalach twory rymowane swojej chorej mózgownicy. Oprócz przeciętnych grafomanów są jeszcze „grafomani furiaci", „grafomani redaktorzy", którzy po trafią zapisać całe strony np. o teatrze... Krytyk francuski E. Faguet tak pisze: Są to furie, piszące własnymi rozwichrzonymi włosami i gryzące wszystkich, którzy nie widzą w nich aniołów!

„Rozwój", rok 1900

BEZROBOCIE W ŁODZI

55 tysięcy bezrobotnych poszukuje pracy w Łodzi i województwie łódzkim! Wojew. Biuro Funduszu Pracy informuje, iż w samej tylko Łodzi notuje 33.309 bezrobotnych (sobota 31. XII. 1938 r.).

„Kurjer Łódzki", rok 1938

TEATR POLSKI

daje po świętach, przed Nowym Rokiem swą ostatnią nowość barwnie i wesoło wystawioną uroczą operetkę przez Leona Schillera autora Herwego „Nitouche" w brawurowym wykonaniu, Doree, Korwina, Chojnackiej, Mrozińskiego, Zasadzianki, Nowosielskiego, Matuszkiewicza...

„Kurjer Łódzki", rok 1938

KRWAWA BIESIADA

Na ul. Zródlanej 5 odbywała się świąteczna zabawa składkowa, urządzona przez grono sąsiadów. Gdy uczestnicy zabawy byli już w stanie nietrzeźwym doszło do sprzeczki o sprawki sąsiedzkie, a następnie do awantury i zbiorowej bójki na noże i siekiery. Ignacego Śniadego pokłuto nożami.

„Kurjer Łódzki", rok 1938

SYLWESTER NAJBIEDNIEJSZYCH

Wiceprezydent Pączek zdecydował po długich targach, że w dniu sylwestrowym kuchnie dla najbiedniejszych przygotują obiad złożony z zupy z kluskami, z 1/4 kg chleba. Jednocześnie najbiedniejsi bezrobotni otrzymają paczki żywnościowe wartości 1 zł 20 gr na osobę. Kuchnie mieszczą się przy ul. Rzgowskiej 7, na Marysinie w Domu Ludowym, na Rokicińskiej w sali Straży Pożarnej...

„Kurjer Łódzki", rok 1938

WSTĘP DO STUDENCKIEGO KARNAWAŁU

JAK SIĘ BAWIĄ?

PIERWSZA SOBOTA KARNAWAŁU, 4. I. 1964

Godzina 19; III DS; ul. Lumumby, Klub „Perełka".

4-osobowy zespół muzyczny złożony z młodych amatorów. Na sali około 30 osób. Dookoła sali stoliki, przy stolikach pary, kawa podawana przez studentów w białych (czystych!) kelnerskich kurtkach. Nastrój dość senny. Długie przerwy między tańcami. Kierownik klubu tłumaczy słabą frekwencję wczesnym okresem poświątecznym. Spodziewamy się jej poprawy w najbliższym tygodniu. Dodatkową atrakcją mają być występy własnego zespołu big-beatowego wraz z solistką, również studentką. Na dziś żadnych urozmaiceń nie przewidziano.

Godzina 19.40, IV DS Politechniki Łódzkiej.

W dużej sali około 150 osób. Pod ścianami na krzesłach — panie. Panowie na pozycjach wyjściowych w centrum sali. Atmosfera zabawy „na podryw". Zespół gra „Rudego rydza". Panowie nerwowo startują. Pierwsi są zawsze najlepsi. Wyraźny podział sali na trzy strefy. Pierwsza tuż przy estradzie — najmłodsi specjaliści od najmodniejszych sposobów tańca. Króluje twist z przysiadami oraz lekką pokładanką. Druga strefa — przejściowa. Trzecia przy drzwiach wyjściowych uprawia taniec w najróżniejszych stylach: od „metody magistra Klawego" (prawa rączka partnerki przylega ściśle do lewego boku partnera), do tańca noszącego ślady szkoły prof. Wieczystego. Toalety pań swobodne, panowie przeważnie w garniturach i białych koszulach. Na twarzach wyraz głębokiego znużenia i w męce spełnianego obowiązku.

Godzina 20.10. I Dom Studencki.

Zespół stylizowany pod Marino-Mariniego. Repertuar bardzo angielski, język w którym solista śpiewa refreny — dużo mniej. Sala natłoczona, duszno. Przeważa młodzież nie studencka od 15-letnich uczniów z klas dziewiątych, do 30-letniego stałego bywalca mającego co najmniej dziesięcioletni staż taneczny na parkietach domów studenckich. Stroje zarówno tańczących jak i przygrywających do tańca nie odznaczają się przesadną troską o wykwint i schludność. Sposoby tańca nie trzymają się kurczowo klasycznych reguł. Przypominają niekiedy do złudzenia ubijanie gliny.

Godzina 20.40. II Dom Studencki UŁ.

Frekwencja niewielka. Na sali wyłącznie studenci. Stoliki (przy jednym brydż), kawa. Gra renomowany łódzki zespół Tiger-Rag, w nieco okrojonym składzie. Atmosfera ciepła i domowa. Kierowniczka klubu zapowiada w najbliższym czasie karnawałowy bal maskowy. Próby uatrakcyjnienia zabaw wstawkami kabaretowymi nie zostały ocenione przychylnie przez uczestników zabawy, którzy „nie chcą marnować czasu przeznaczonego na taniec". Jak słyszymy, zabawy w II DS cieszą się najlepszą opinią wśród studentów mieszkających w osiedlu akademickim.

Godzina 22.15. Tramwaj linii „6" Drugi pomost, drugiego wagonu.

Po bezalkoholowych zabawach wraca do miasta 6-osobowe bardzo pijane i bardzo agresywne towarzystwo.

Klub „Pod siódemkami" — Piotrkowska 77.

Klub to międzyuczelniany i bądź co bądź reprezentacyjny, więc atmosfera panuje tu sztywna i ponura. Być może jest to wynikiem dzikiego tłoku. Na metr kwadratowy mikroskopijnego parkietu przypada 2 do 3 par. Twist w tych warunkach przypomina skręt kiszek. Głośno grający zespół lub wyjąca szafa zagłuszają nieśmiałe próby rozmów. To jednak nikomu nie przeszkadza, tu się przychodzi na „podryw". Przeważają smutne pary i parzyste towarzystwa. Mimo że klub to z nazwy studencki na sali dużo osób, które ze studiami od dawna nie mają nic wspólnego, bądź nigdy nic wspólnego nie miały. Jedyną atrakcją w tych warunkach jest wzajemne podrywanie sobie krzeseł od stolika do stolika.

JAK SIĘ BAWIMY?

LESZEK CEGIEŁKA, student V roku socjologii UŁ.

„Moim zdaniem zabawy studenckie tym się różnią od wszystkich innych, że nie mają studenckiego charakteru. Bywam na nich dość często od paru lat, mam też pewien materiał porównawczy. Stąd właśnie powyższy wniosek i stwierdzenie, że wieczorek taneczny np. w III Domu Studenckim niczym się nie różni od wieczorku tanecznego np. w MDK. Brak atmosfery pt „Wszyscy bawimy się razem" powoduje system „podlewania się na wieczorek", według którego butelka wina ma ułatwić kontakty towarzyskie. Od ubiegłego roku coś się zaczęło bardzo powoli zmieniać. Dobrym posunięciem było utworzenie klubów w niektórych akademikach. Rada Mieszkanek II DS wprowadziła zwyczaj urozmaicania wieczorków różnego rodzaju występami i konkursami dla wszystkich. Te wysiłki stworzenia przyjemnej, ogólno-studenckiej atmosfery zostały w tym roku zaniechane. Dlaczego?"

ZBIGNIEW HORYD, muzyk jazzowy.

„Myślę, że są różnice w zabawach studenckich i nie studenckich. My to rozpoznajemy przez zapotrzebowanie na różne tańce. Dla nobliwych towarzystw gramy z początku walczyki i tanga aż do czasu kiedy się atmosfera ociepli. Często ociepla się przy pomocy znacznych ilości alkoholu. Dla studentów gramy przeważnie w żywszych rytmach, studenci lepiej, w sposób bardziej dla nas sympatyczny odbierają tę muzykę. Chętnie też tańczą to, co w danym sezonie jest modne".

TOMASZ KOZŁOWSKI, kierownik Klubu Studentów w Łodzi.

„Bawimy się dość fajnie. Jak wykazuje praktyka zawsze lepiej, kiedy zabawa jest bezalkoholowa. Karnawał jest u nas okresem nasilenia imprez rozrywkowych — nie tylko zabaw i wieczorków. Dla przykładu: za udany cykl imprez uważam „po niedziałki z wesołą konsumpcją", które będziemy kontynuować. W karnawale, w styczniu, obchodzimy zawsze Dni Klubu związane z rocznicami powstania Klubu Studentów Łodzi, imprez jest więc tym więcej. W bieżącym roku obiecujemy sobie wiele po balu młodzieżowej artystycznej, na który zapraszamy nie tylko młodzież, ale i inne, „pozamłodzieżowe" osobistości świata artystycznego. W ubiegłym roku bal ten był bardzo udany. Do ważniejszych jego wydarzeń zaliczam fakt, że nasz dozorca nie chciał wpuścić jednego z zaproszonych przez nas gości. Twierdził, że już z wyglądu zewnętrznego można wywnioskować, iż jest to jeden z większych w Łodzi rozrabiaków. Gość nasz odznaczał się wybitnym poczuciem humoru, więc się nie obraził. Był nim Ludwik Benoit".

* * *

Karnawał studencki różni się od innych karnawałów między innymi przystępnymi cenami biletów wstępu na bale i zabawy. W bieżącym roku zauważyliśmy to już w czasie licznych balów sylwestrowych, na których ceny kształtowały się w granicach od 60 do 120 zł od osoby. Ta ostatnia suma stanowi około 1/5 całomiesięcznego budżetu studenta-stypendysty. Określenie „bal studencki" sugeruje istnienie innych jeszcze wyróżników: egzotykę, wielką wesołość i świeżość zabaw, czyli to co nie musi być rzeczą charakterystyczną dla zabaw przeciętnych śmiertelników. Tak głosi fama. „Powiedzcie Famie, że jest głupi" powiedział w zamierzchłych czasach pewien porucznik Studium Wojskowego Wyższej Uczelni. I, przynajmniej w odniesieniu do studenckich zabaw, miał rację.

Wszystkie co poważniejsze studenckie wydarzenia balowo-zabawowe, rozgrywają się poza okresem karnawału. „Bal Historyka" na przykład, czy „Bal Plastyków" wbrew nazwom będące zwykłymi wieczorkami zapoznawczymi odbywają się w listopadzie lub grudniu. Bale „Ekonomisty" i „Farmacji" połączone przeważnie z absolwentówkami urządzane są długo po karnawale. Mimo wysokiego protektoratu władz uczelni cieszą się one umiarkowaną popularnością wśród bezpośrednio zainteresowanych studentów. Przykładem niech będzie jeden z „Balów Historyka", na którym tenże kierunek studiów reprezentowały w decydujących momentach zabawy trzy osoby. Co innego w okresie karnawału. Nieliczne bale odbywające się właśnie w tym czasie cieszą się ogromną frekwencją doprowadzającą do dantejskich scen przy wejściach. Świadczy to na pewno o braku urozmaiconych atrakcyjnych i dobrze zorganizowanych imprez. Cotygodniowe wieczorki taneczne jakimi „załatwia się" potrzeby towarzyskie kilkunastotysięcznej rzeszy studentów łódzkich są po prostu smutne. I co gorsza, nawet najstarsi, posiwiali w bojach egzaminacyjnych studenci nie pamiętają, aby kiedy kolwiek było inaczej. Nie może więc być mowy o tradycji studenckich karnawałów, wieści zaś kolportowane przez nasze mamy i ciocie o szampańskich zabawach, o wyprzęganiu koni z dorożek pochodzą zapewne z czasów, kiedy dorożka była najpopularniejszym środkiem miejskiej komunikacji. Można do tych tradycji zatęsknić po uczestniczeniu w zabawie, której jedyną atrakcją jest bardzo pijany student.

Co powoduje, że okres, który już z nazwy sugeruje wesołość jest tak smutny? Może wymarł już gatunek wodzirejów umiejących rozbawić całą salę? Może instruktorzy ZSP zajmujący się etatowo lub ryczałtowo rozrywką nie umieją przełamać bierności tanecznego tłumu, skutkiem czego przyjął się szablon zabaw na podryw, parami, lub coraz popularniejszych prywatek? Może skoro nie przyjął się ogólno-towarzyski madison spróbować powrotu do niemodnego walca z „kółeczkiem" „koszyczkiem", i „para za parą"? Że młodzi nie potrafią go tańczyć? Może po prostu nauczyć?

Nie namawiamy studentów do zapominania, że bezpośrednio po karnawale następuje sesja egzaminacyjna. Skoro jednak zabawy istnieją niech zasłużą sobie na miano prawdziwie studenckich. Bo atmosfera tych, które się odbywają jest zupełnie różna od wyobrażeń naszych i wyobrażeń wielu studentów, z którymi na ten temat rozmawialiśmy. Studenci chcą się bawić inaczej. Czego więc jeszcze potrzeba?

W STUDENCKIM KARNAWALE WSZELKA INICJATYWA PILNIE POSZUKIWANA.

Jerzy Dębski
Włodzimierz Łuszczykiewicz
Marek Wawrzkiewicz

Redakcja otrzymuje codziennie wiele listów od czytelników. Oczywiście, wśród tych listów znajdujemy i takie, które całkowicie aprobują pismo, najczęściej autorzy formułują swoje uwagi w ten sposób — „Niczego mi nie brak w „Odgłosach". Są też i wypowiedzi krytyczne i one nas najbardziej interesują. Oto porcja uwag krytycznych:

„Czytam jako humanistka (wypowiedź studentki) wiele pism nie tylko łódzkich, dosłownie ani w jednym nie znalazłam nic ze źle pojętego patriotyzmu dzielnicowego. Łódź przoduje w tym. Nic chlubnego... Zaznaczam, że nie jestem ani łodzianką (choć mieszkam w tym „grodzie") ani warszawianką. Pochodzę z innej zupełnie dzielnicy Polski, ale mnie to boli. Nie podoba mi się szowinistyczne stanowisko redaktorów. „Odgłosy" czytam od kilku lat i w każdym numerze to samo.

I jeszcze jedno. W recenzjach teatralno-filmowych brak obiektywizmu, stawianie kropki nad „i" zupełnie niepotrzebne. Nie można przyszłego widza z góry usposabiać źle do sztuki czy filmu. Mam do was drodzy redaktorzy prośbę, nie stawiajcie kropki nad „i".

„Brak mi w „Odgłosach" (pisze jedna z bibliotekarek pewnego powiatowego miasta) cyklu o ciekawych ludziach województwa łódzkiego. A przecież wśród mieszkańców województwa nie brak postaci zasługujących na popularyzację. Brak jest również informacji o działalności bibliotek w województwie. A przecież w tych bibliotekach dzieją się ciekawe rzeczy: np. konkurs czytelniczy literatury współczesnej „Złoty i srebrny kłos", konkurs czytelniczy książki technicznej pt. „Czytelnicy mówią o książce technicznej". Rozwija się służba informacyjno-bibliograficzna... Chciałabym również widzieć w „Odgłosach" więcej artykułów i reportaży z różnych dziedzin dotyczących województwa łódzkiego, tak jak np. piszecie o Bełchatowie..."

Tę ostatnią kwestię — zbyt małego zainteresowania się redakcji sprawami województwa porusza wielu czytelników. „Za mało pisze się o prowincji, o ludziach województwa i o historii naszego województwa" — stwierdza pewien emeryt z Pabianic. Również czytelnicy z Łodzi zwracają nam uwagę na tę sprawę. J. Z. z Łodzi pisze: „Pismu jest brak większego związania ze środowiskiem regionu łódzkiego, recenzji z życia kulturalnego z terenu łódzkiego... brak tekstów (a może i nut) starych piosenek z Łodzi i regionu łódzkiego, wierszy o Łodzi i z regionu...".

Na zakończenie dzisiejszej porcji wypowiedź bratniej duszy (drukarza):

„Podoba mi się szata graficzna „Odgłosów". Podoba mi się tematyka młodzieżowa poruszana w tym piśmie. Nie podobają mi się artykuły literackie naszpikowane obcymi wyrazami... powinno się operować językiem bardziej zrozumiałym. Odczuwam w piśmie zbyt mało poezji i rzeczy o poezji. A może by tak urządzić rekolekcje z poezją?"

* * *

Flirt z czytelnikami prowadzimy w dalszym ciągu. Najciekawsze wypowiedzi odnoszące się do pisma, udokumentowane uwagi krytyczne, nagradzać będziemy książkami. W związku z tym prosimy o podawanie nazwisk i adresów

JAMES THURBER

★ ★ ★

„Miss Groby uczyła mnie angielskiego — pisał James Thurber w humoresce „Tu leży Miss Groby" — **trzydzieści lat temu. Miss Groby nie interesowało to, o czym mówi proza. Ponad wszystko ukochała bowiem Tropy Poetyckie." Wpływ Miss Groby musiał być znaczny, James Thurber bowiem także ukochał ponad wszystko: Figures of Speech, Tropy Poetyckie, Figury Językowe. Była to miłość bezwzględna i bezlitosna. Thurber posługiwał się językiem zastanym, skamieniałym i okulawionym, po to, by język ów nicować. Po to, by szydzić i kpić z owych figur językowych, schematów i wzorców, w które wtłaczamy nasz język. Był dziennikarzem** — od roku 1927 pracował w redakcji „New Yorker'a" — **kpił przeto z języka dziennikarskiego, pisząc suchym językiem dziennikarzy swe nadrealistyczne opowiadania. Był satyrykiem, kpił przeto z języka i z pomysłów satyryków, sięgając po wytarte zwroty i wytarte koncepty, by opowiedzieć nadrealistyczny dowcip. Patrzył na świat oczyma dziecka, tylko po to, by skonwencjonalizowanym, śmiertelnie poważnym językiem bajek, opowiadanych dzieciom, opowiedzieć bajkę, która była zazwyczaj kpiną z bajki i kpiną z czytającego. Oczywiście, Thurber nie posuwał się w owym kpieniu z konwencji językowych tak daleko jak, powiedzmy, Ionesco. Nie był to zresztą pisarz tej rangi. Był, być może, tylko humorystą, wiernym dobrej tradycji suchego dowcipu angielskiego.**

Thurber kpił ze skonwencjonalizowanego świata dorosłych i ze skonwencjonalizowanego świata dzieci. Ale spod kpiny — czy to w prozie czy w dowcipach rysunkowych — **wyziera co chwila lęk pisarza przerażonego mroczną i ponurą siłą owego skonwencjonalizowanego świata. I przerażonego mrocznymi i ponurymi siłami, które czekają, ukryte poza maską konwencji.**

Teksty Thurbera, które drukujemy, wyjęte zostały z cyklu „Fables for Our Time". Co się tłumaczy: „Bajki dla naszego czasu".

M. S.

Wszystkiemu winne są króliki

Nawet najmniejsze dzieci pamiętają ową rodzinę królików, która zamieszkała nieopodal rodziny wilków. Po krótkim czasie wilki oświadczyły, że nie podoba im się sposób życia królików. Wilki uwielbiały swój wilczy sposób życia, ponieważ był to jedyny sposób, w jaki można żyć na tym świecie. Pewnej nocy rozpoczęło się trzęsienie ziemi i kilka wilków zginęło w owym trzęsieniu. Obwiniono o to króliki, bo jak dobrze wszystkim wiadomo, króliki, odbijając się od ziemi tylnymi łapami, powodują trzesienia ziemi. Innej nocy, w czasie burzy, jeden z wilków został zabity przez piorun. Również i w tym wypadku winę przypisano królikom, bo jak dobrze wszystkim wiadomo, błyskawice i pioruny wywołują stworzenia, żywiące się liśćmi sałaty. Wilki zagroziły, że podejmą się ucywilizowania królików, jeśli króliki nie będą się zachowywać przyzwoicie. Króliki postanowiły więc uciec na bezludną wyspę. Ale inne zwierzęta, żyjące co prawda w godziwej odległości, zawstydziły rodzinę królików, mówiąc:

— Musicie uzbroić się w odwagę i nadal żyć tam, gdzie żyjecie. Na tym świecie nie ma miejsca dla eskapistów. Jeśli wilki wezmą się za was, wszystko wskazuje na to, że udzielimy wam pomocy.

Króliki żyły przeto nadal w pobliżu wilków, aż do owego dnia, kiedy nadeszła olbrzymia powódź i utonęło wiele wilków. Natychmiast obwiniono o to króliki, bo jak wszystkim świetnie wiadomo, dłużouche stworzenia, ogryzające marchew, trudnią się wywoływaniem powodzi. Wilki wyruszyły przeciw królikom dla dobra królików i uwięziły wszystkie króliki w mrocznej jamie, by króliki mogły wreszcie poczuć się bezpieczne.

Gdy po królikach zaginął wszelki słuch, inne zwierzęta zapragnęły dowiedzieć się, co się królikom przydarzyło. Wilki odpowiedziały, że króliki zostały zjedzone, a ponieważ zostały zjedzone, sprawa królików przestała istnieć. Wówczas to inne zwierzęta ostrzegły wilki, że być może zjednoczą się przeciwko nim, jeśli powód pożarcia królików nie zostanie podany do wiadomości publicznej. Wilki zmuszone były przeto podać powód.

— Króliki próbowały uciec — powiedziały wilki — a przecież, jak wiecie, na tym świecie nie ma miejsca dla eskapistów.

Morał: nie krocz lecz biegnij ku najbliższej bezludnej wyspie.

Dzierzba i czipmunki

Żyły niegdyś dwa czipmunki, samiec i samiczka. Jak utrzymywał czipmunk-samiec, układanie orzechów w piękne wzory było zajęciem znacznie zabawniejszym, niż układanie orzechów na kupkę, tylko po to, by można było stwierdzić, ile orzechów da się na jedną kupkę ułożyć. Ale żona czipmunka opowiadała się za układaniem orzechów na kupkę. Nieraz też powtarzała mężowi, że gdyby wreszcie zaprzestał układania wzorów, w dziupli znalazłoby się miejsce dla znacznie większej ilości orzechów i wkrótce czipmunk stałby się najbogatszym czipmunkiem na świecie. Pewnego dnia czipmunk oświadczył, że nie widzi powodu, dla którego żona miałaby wtrącać się do artystycznych zajęć męża. Samiczka wpadła wówczas w złość i porzuciła dziuplę i męża.

— Jestem pewna — powiedziała — że wkrótce złapie cię dzierzba. Pozostawiony samemu sobie, stajesz się bezradny, jak dziecko.

Co prawda, trzy dni przed odejściem żony, gdy czipmunk miał iść na bankiet, nie mógł znaleźć ani koszuli, ani szelek, ani spinek do mankietów. Nie poszedł więc na bankiet i dobrze się stało.

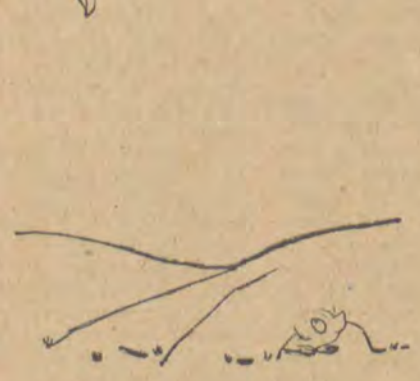

Wszystkie czipmunki, które na ten bankiet poszły, zostały bowiem pożarte przez łasicę.

Już następnego dnia dzierzba czatowała w pobliżu dziupli czipmunka. Ale nie mogła dostać się do wnętrza, bo otwór dziupli zatkany był brudną bielizną i brudnymi naczyniami.

Czipmunk wyjdzie na spacer po śniadaniu — myślała dzierzba — i wówczas go pochwycę.

Ale czipmunk przespał cały dzień, wstał wieczorem, dopiero wówczas zjadł śniadanie i wyszedł na dwór, by zaczerpnąć powietrza przed czekającą nań pracą nad nowym wzorem z orzeszków. Dzierzba natychmiast rzuciła się na niego, ale dzierzby źle widzą w ciemności. Zamiast złapać czipmunka, dzierzba trafiła głową w pień olchy i upadła na ziemię bez życia.

Kilka dni potem samiczka czipmunka powróciła do domu, przerażona myślą o balaganie jaki zapanował w dziupli. Podeszła do łóżka i zbudziła męża.

— Co zrobiłbyś beze mnie? — powiedziała.

— Myślę — odparł czipmunk — że żyłbym sobie nadal.

— Nie przeżyłbyś nawet pięciu dni — powiedziała samiczka.

Po czym zamiotła dziuplę, zmyła brudne naczynia, wysłała bieliznę do pralni i kazała czipmunkowi wstać, umyć się i ubrać.

— Kto nie wstaje rano i spędza cały dzień w łóżku, nie może cieszyć się dobrym zdrowiem — powiedziała i wzięła czipmunka na spacer. Świeciło słońce i czipmunki zostały napadnięte i pożarte przez brata owej zmarłej dzierzby, dzierzbę imieniem Stoop.

Morał: kto wstaje z rana, temu śmierć pisana.

Jednorożec w ogrodzie

Pewnego słonecznego ranka mężczyzna, jedzący śniadanie, podniósł oczy znad talerza z jajecznicą i ujrzał białego jednorożca, spokojnie skubiącego róże w ogrodzie. Róg zwierzęcia był złoty. Mężczyzna pobiegł do sypialni i obudził żonę:

— Mamy — powiedział — jednorożca w ogrodzie. Pożera róże.

Kobieta otworzyła jedno, do tego nieprzyjazne, oko i spojrzała na męża.

— Jednorożec jest zwierzęciem mitycznym — powiedziała i odwróciła się do ściany.

Mężczyzna zbiegł ze schodów i wyszedł do ogrodu. Jednorożec był tam nadal. Obskubywał właśnie tulipany.

— Halo! — powiedział mężczyzna — Jednorożcu!

Zerwał lilię i wyciągnął rękę. Jednorożec zjadł lilię z powagą. Głęboko wzruszony, ponieważ jednorożec zjawił się w jego ogrodzie, mężczyzna poszedł na górę i powtórnie obudził żonę.

— Jednorożec — powiedział — zjadł przed chwilą lilię.

Żona usiadła na łóżku i spojrzała chłodno na męża.

— Jesteś szalony — powiedziała. — szalony i zamknę cię w domu wariatów.

Mężczyzna, dla którego takie słowa jak „szalony" czy „dom wariatów" nigdy nie były miłe, a już szczególnie nie były miłe owego słonecznego ranka, gdy w ogrodzie pasł się jednorożec, obruszył się.

— Za kogo ty mnie masz — powiedział i zamyślił się na chwilę. — Ma złoty róg na czole — dodał jeszcze i wrócił do ogrodu by obserwować jednorożca. Ale jednorożec zniknął. Mężczyzna usiadł między różami i wkrótce zasnął.

Skoro tylko mąż wyszedł za drzwi, żona zerwała się z łóżka, podniecona, z błyszczącymi oczyma. Zadzwoniła po policję i zadzwoniła do psychiatry, prosząc, by jak najśpieszniej zjawili się w jej domu. I by przywieźli ze sobą kaftan bezpieczeństwa. Policjanci i psychiatra przybyli na miejsce, zasiedli w fotelach i patrzyli to na siebie, to na żonę, nie bez zaciekawienia.

— Mój mąż — powiedziała kobieta — zobaczył dziś rano jednorożca w ogrodzie.

Policjanci spojrzeli na psychiatrę, a psychiatra spojrzał na policjantów.

— Twierdzi, że jednorożec jadł róże i lilie.

Psychiatra spojrzał na policjantów, a policjanci spojrzeli na psychiatrę.

— Twierdzi, że jednorożec miał na czole złoty róg.

Na sygnał psychiatry policjanci zerwali się z foteli i rzucili na żonę. Nie poszło im łatwo, bo kobieta broniła się zażarcie. Ale wreszcie dali sobie z nią radę. Właśnie nakładali jej kaftan bezpieczeństwa, gdy w domu zjawił się mąż.

— Czy mówił pan żonie — spytali policjanci — że widział pan jednorożca?

— Skądże znowu — odparł mąż. — Jednorożec jest zwierzęciem mitycznym.

— To mi wystarcza — powiedział psychiatra. — Zabierzcie ją. Bardzo mi przykro, pańska żona zwariowała.

Policjanci zabrali przeto krzyczącą rozpaczliwie i przeklinającą żonę i zamknęli ją tam, gdzie należy. Życie męża potoczyło się szczęśliwie.

Morał: nie czyń z drugiego kogoś, kim ci być niemiło.

Dziewczynka i wilk

Pewnego popołudnia ogromny wilk zasadził się przy drodze, biegnącej przez mroczny las, na dziewczynkę, która miała nieść tamtędy koszyk z jedzeniem dla swojej babci. Gdy wieczorem nadeszła z koszykiem pełnym jedzenia, wilk spytał:

— Czy niesiesz ten koszyk dla swojej babci?

Dziewczynka przytaknęła. Rzeczywiście, niosła ten koszyk dla babci. Wilk spytał jeszcze dziewczynkę, gdzie mieszka jej babcia, a gdy otrzymał odpowiedź, czym prędzej zniknął w głębi lasu.

Gdy dziewczynka otworzyła drzwi domu babci, zobaczyła że w łóżku leży ktoś w czepku i w nocnej koszuli. Ale nie musiała wcale zbliżać się do łóżka, by spostrzec, że nie była to jej babcia, lecz wilk, bo wilk nawet jeśli leży w łóżku i do tego w czepku na głowie, nie jest ani trochę podobny do twojej babci. To widząc, dziewczynka wyciągnęła z koszyka pistolet automatyczny i zastrzeliła wilka na śmierć.

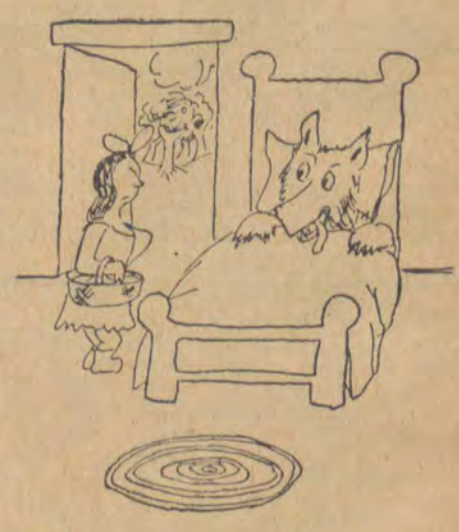

Morał: nie tak łatwo oszukać w dzisiejszych czasach małą dziewczynkę:

Tłumaczył: M.S.

ROZMOWA CHŁOPA ZE SZLACHCICEM

Kiedy świnie nurkują pod wezbranym gnojem
W świetle poranka, wśród szumiących wiatrów,
Naród podnosi garnek i śpiewa.

Akacja moknie. Zmierzch wychodzi ze studni.
Krowy czochrają się o gwiazdy, wiadra
Naród podnosi i śpiewa.

Toczysz się jabłko
Pięknej przemiany,
Żyjesz z miłości
Elektoralnej,

Ty jaśnie pańskie,
Ty rajskie, pełne
Milczącej siły
Nieskończonej,

Zlorzeczy pastuch,
Konkretnie, dzielnie,
Jabłko się toczy
I debatuje,

Słońce je więzi,
Jesień je ścina,
Pochwala pastuch,
Portki zapina,

Emocjonalnie,
Wolno, typowo,
Rodzimy nawóz
Ziemi jałowej.

Chryzostom Pasek
Delegowany,
Przeklęte drogi
Naszej przemiany.

Nie krępuj żesz się, nie drocz mi się,
Ino mnie, ino, bo mi się ckni się,

Jakbyś mi tego, mocno do środka,
Już masz
Parobka.

Relatywne rozwiązania,
Sublimacje między,
Moje jabłko jaśniepańskie,
Moje jabłko nędzy.

Głupiś chłopie, na pociechę
Weź pro conclusione,
Piękne Polska ma nazwisko
Inter scriptores.

Ni przemianą ni emocją,
Ani mocą wzięta,
Syriej, Persiej, Grecjej, Indiej,
Lombardię pamięta.

Obdarzona, sytuatywna,
Virgo inviolata.
Bez wegetatywnych zakłóceń,
Bez fascynacji.

JERZY WALEŃCZYK

STARY PARK

Zdźbło trawy tu mi coś szepce,
Staw wyciśnięty do szlamu grudki
w siatce na żaby,
Muszek trochę zielonych, słowo honoru,
Natrętne chóry kumkające,
Pyłek, taki pyłek
Czepia się palców, szamoce
Leci dalej, dalej, dalej,
Ślady najdłuższe gum piasku białych alej
I trochę robaczków w słoiku,
Bajoro.

Poczekaj, poczekaj,
Dzwonek jest przecinkiem,
A motyli to się nie łapie siatką na żaby,
A żab to się nie łapie siatką na motyle,
Ani nie wolno ich misiać
zardzewiałym scyzorykiem.
Bajorko.

I czarny piesek obwąchuje pogaduszki,
Zakurzony but drgający, popołudnie
Lekko odbija się o szpic,
A piesek szczekając kurzy jak purchawka,
A teraz popchnął się o trawę,
A teraz piłkę huczącą przez plecy
to też można przerzucić,
Ponieważ żaby solo także umieją,
Ponieważ słońce razi, dobra centra,
Ponieważ szybko kosi piłka
I 2:0
Jest dla Ryśka.

Jak tutaj ładnie,
Jak tutaj ładnie.

A ty, co?
Wróbla żeś złapał i przemalował na kanarka?

DO DZIEWCZYNY

Aniele dnia jasnego, gdy pada, gdy grzmi,
Daj niecierpliwe, poetyckie sprawy,
Pomóż cierpieniom, ciszej, piękniej,
Zapytaj: kim ojciec, zapytaj: kim syn,

Aniele, niech się martwi zły, niesprawiedliwy,
Sezony są gotowe. Do dzieła, do dzieła,
Lub milcz, chytry gatunku, milcz
Jasny, Działanie i Echo, sugestio

Drobnych spraw, buduj wieżę, nieś
Suknie pojęciom, barwy dla piękności,

Chwilom niedorosłym sposób przedstawienia
Pełen pożegnań z Formą, Aniele dorosły.

DYDAKTYKA

Żeby wychować człowieka
Trzeba
3 000 kg tłuszczów,
3 000 ton mąki,
30 000 jabłek (a kto ukradł z pokoju witaminę C,
Et caetera, et caetera, et)
3 000 kazań o moralności
Grupy, klasy profesjonalnej,
3 000 ton zadań
Z jedną, dwoma, trzema, czterema
niewiadomymi,
3 000 000 restrykcji, zakazów,
Żeby był
Głuchy na,
Nie ważył się
A latem, a zimą,
1 000 dolarów za człowieka,
North, South, West, East,
Stateczny stary bank,
Safe'y marzeń, safe'y krwi,
Ja,
Urodziłem się w 1927,
Więc,
Bez kpin.

ORZECHOSIU

JAN KOPROWSKI

Jesienią roku 1962 zmarł w wieku lat osiemdziesięciu, Wacław Orzechowski. Kroniki nie upamiętnią jego nazwiska, gdyż nie był on ani wybitnym profesorem, ani sławnym generałem, ani nawet poetą. Był znakomitym dozorcą, ale któż wprowadza dozorców na karty historii? Niegdyś pojawiała się postać dozorcy w operetkach wiedeńskich, jednakże nie widziało się jej wśród barwnych i godnych osobistości. Dozorca wiódł na scenie żywot zazwyczaj marginesowy, wchodził na chwilę, przemykał bokiem jakby przepraszając że żyje. Występował jako abstrakcja, bez własnego nazwiska, po prostu — jako jakiś tam dozorca. Prawda, dostawali się jeszcze dozorcy na łamy pism humorystycznych, a raczej im się dostawało za nieporządki i inne, prawdziwe lub urojone, przewinienia. Tę nikłą lecz chlubną tradycję podtrzymują nasze rodzime „Szpilki", gdzie poczciwego ciecia wywabiają z życia rysownicy i autorzy-kawalarze.

Wacław Orzechowski był dozorcą Domu Literatów w Łodzi przy ulicy Mickiewicza 8 (dawniej Bandurskiego). Znał i pamiętał wszystkich pisarzy, którzy przewinęli się tam od 1945 roku, tj. od chwili, gdy Adam Ważyk i Leon Pasternak z naganami u pasa jako oficerowie I Armii zarekwirowali ten okazały budynek na kwatery literackie.

Odkąd pamiętam, Orzechosiu (tak wszyscyśmy go nazywali) nigdy nie opuszczał obejścia. Terenem jego działania było podwórze, chodnik przed główną bramą, który często zamiatał, kotłownia, gdzie palił i sypialnia w piwnicy. Tak jest: właśnie w piwnicy. Bo Orzechosiu nie sypiał w domu — na parterze. Miał łóżko (tzw. wyrko) tuż przy kotłowni i tam najlepiej mu się wypoczywało. Gdy dzień był ciepły i wszystkie prace porządkowe miał już za sobą, siadał na ławeczce pod ścianą i rozmawiał z dziećmi literatów, albo sarkał i przewodził, jeśli zachowywały się one nazbyt hałaśliwie.

Orzechosiu miał swój własny, wyrobiony pogląd na literaturę i pisarzy. Jego zdaniem, im gorszy literat, tym mieszkał wyżej. O tych, co na piątym piętrze, powątpiewał, czy w ogóle są pisarzami. Najlepsi i najzdolniejsi, najbardziej ważni i poważani, to autorzy z parteru i pierwszego piętra. Mogłem się o tym przekonać na sobie samym. Przez czas jakiś mieszkałem na pierwszym piętrze. Wtedy Orzechosiu odnosił się do mnie z szacunkiem, zachowywał ów dystans, jaki przystoi wobec osób na świeczniku, słowem: dawał mi do zrozumienia, że jestem kimś i że on o tym bardzo dobrze wie. Kiedy jednak zamieniliśmy z kolegą mieszkania i przeniosłem się na czwarte piętro, Orzechosiu począł przyglądać mi się z niedowierzaniem. Myślał sobie zapewne: „Kiedyś był dobry literat, ale teraz popsuł się, widać". Nigdy nie mogłem dociec, na czym budował te swoje sądy. Czyżby na owych starych przypowieściach o poetach mieszkających na poddaszu i przymierających głodem?

O wszystkich nas mawiał nieodmiennie: „Literaci to jak dzieci, tylko że jeszcze gorsze". A w ogóle był zdania, że literatura schodzi na psy. Pogląd ten zdobywał nie na podstawie naszych książek, których, rzecz jasna, nigdy nie czytał, lecz na podstawie naszego zachowania się i sposobu bycia. „Dawniej — mówił — to żaden literat nie przychodził do domu przed jedenastą. Dopiero jak zamknąłem bramę i położyłem się spać, raz po raz dzwonił ktoś ze dworu. Nieraz to i o trzeciej nad ranem wracali, a niektóry wcale w domu nie nocował. A dziś? Szkoda gadać. Już o dziesiątej każdy, panie, w bamboszach. Strasznie ci literaci sporządnieli. A jak się tam zdarzy czasami, że który wróci po jedenastej, to przeprasza i taki jakiś, jakby się wstydził. A czego się tu wstydzić! Jak on literat, to nie musi tak rychło wracać. Życie mu badać, na ludzi patrzyć, żeby ich potem dobrze opisać. Mnie tam, panie, nie chodzi o to, że jak niby późno wracają, to każdy za otwieranie bramy coś odpali. No pewnie, trochę się grosza uzbierało, bo literat człowiek hojny, choć nie każdy, ale przeważnie to tak. A jak który nie przymierzając na bańce, to dawał jeszcze więcej. Tylko, że, panie, fantazja ginie w narodzie. A jaki tam literat bez fantazji. Po mojemu — żaden".

Orzechosiu miewał dni, kiedy lubił mówić. Zwierzał się każdemu, kto mu się tylko napatoczył. Już chciałeś odejść, bo ci śpieszno było, a on szedł jeszcze za tobą, zagadywał, drogę zachodził. Dziś myślę sobie, że działo się tak wtedy, gdy Orzechosiu był pod dobrą datą. A lubił sobie golnąć czasami. W sypialni koło kotłowni można było znaleźć niejedną ćwiartuchnę opróżnioną lub przygotowaną właśnie „do likwidacji". Wpadał tam do niego ten i ów z niższych i wyższych pięter. Bo jeśli o picie chodzi, traktował wszystkich jednakowo demokratycznie. Nie omieszkał, naturalnie, zauważyć, że dawniej lepiej bywało.

„Jakie tam teraz literaci, panie. Kiedy pan Broniewski tu mieszkał, to się piło. Pamiętam: było lato, gorąc, jak sto diabłów, a tu pan Broniewski przez okno mnie przywołuje, bo na parterze mieszkał, i po czterdziestkę albo i pół litra posyła. A potem do izby prosi, rozebrany jak do rosołu wódkę nalewa i pić ze sobą każe. To się piło, czemu nie. Albo i pani Gojawiczyńska — kobieta, a jak ona, panie, gorzałę smoliła. Niejeden chłop by z nią przegrał na picie. I nie osóbkowała się wcale. Ile ja u niej wódki wypiłem. A jaką zagrychę umiała przyrządzić. Dobra była kobieta, a pisać musiała dobrze, bo taki, co pije, to i człowieka lepiej wyrozumie. A jak go lepiej wyrozumie, to i lepiej opisze. No nie?" Nie zaprzeczaliśmy. Przyznawaliśmy mu rację, nie podzielając jej, bo Orzechosiu nie uznawał sprzeciwu. Zresztą był już stary, dobiegał osiemdziesiątki. Ale do ostatnich niemal chwil pełnił swoją służbę. Czuł się odpowiedzialny za ten dom, za jego mieszkańców (literaci to przecież dzieci), zależało mu na dobrym imieniu. Nieraz myślałem sobie: co by to było, gdyby Orzechosiu napisał pamiętniki. Obrałem już nawet tytuł dla nich: „Pamiętniki dozorcy". Niestety, to niemożliwe. Bo choć Orzechosiu czytywał codziennie gazetę i rad wdawał się w rozmowy o polityce, był prawie niepiśmienny. Ledwie podpisać się zdołał. Nie, nie zostawił po sobie pamiętników. Zostawił jedynie wspomnienia o sobie u tych, którzy go znali. Ale to nie to samo.

Kiedy zachorował, szczerześmy się zmartwili. Wiedzieliśmy, że drugiego takiego dozorcy już nie będzie. Chorował krótko. Wraz z jego śmiercią odeszło w przeszłość coś bezpowrotnie minionego. Mamy teraz innego dozorcę, młodego, ale to, panie, nie to, co dawniej.

dyskusje wywiady opinie

BIOGRAFIA i EKSPERYMENT

rozmowa z Leonem Gomolickim

W biografii literackiej Leona Gomolickiego najbardziej zaskakującym (pozornie) jest jego późny start literacki. Pierwszą jego powieścią, powieścią-progiem, od którego zaczęła się jego istotna droga, jako rasowego prozaika, mówiącego — w miarę oczywiście znanych nam ograniczeń — pełnym głosem, jest UCIECZKA, wydana w 1959 r. Pisał jednakże i ogłaszał wiele przed tym. Jego poetyckie pierwociny, drukowane w „Kamenie", datują się z międzywojennego dwudziestolecia. Artykuły, reportaże, opowiadania i wiersze pojawiały się od r. 1945 w prasie łódzkiej i nie-łódzkiej i wychodziły w książkach. Nie wspominam tu prac rusycystycznych, bo to nie należy do naszego tematu. Wszystko to jednak, co było przed UCIECZKĄ, ginie w cieniu dzisiejszej prozy Gomolickiego, który pozostanie dla nas autorem UCIECZKI, UPROWADZENIA BAUCIS, WYŁĄCZENIA, BIAŁEGO RUNA i tego, co po tym jeszcze napisze. A dla autora, czym jest dla autora wszystko z owego „przed tym", czy uznaje tamto wszystko za swoje pierwociny literackie i potrafi się psychicznie odłączyć od nich? I co spowodowało — to w psychologii twórczości jest chyba najciekawsze — że Gomolicki, autor utworów o charakterze raczej społeczno-politycznym w rodzaju LOKAUTU, reportaży tzw. „produkcyjnych", czy nawet zindywidualizowanych już opowiadań z tomu WIECZORY NAD ŁODKĄ — nagle otwiera się, przemienia i — można powiedzieć wybucha talentem autentycznego beletrysty, co mu w rezultacie przynosi poważną nagrodę na ogólnopolskim konkursie Wydawnictwa Łódzkiego za powieść UCIECZKA i zapewnia w kronice literackiej naszych czasów jedno z tych miejsc, które na pewno się liczą.

Zapytajmy o to najlepiej autora.

— Wymieniła pani *LOKAUT*. To była moja pierwsza próba prozy. Piętnaście lat temu. Wtedy myliłem literaturę z wymysłem na zimno, I do tego zbiegło się to z okresem fetyszyzacji tematu. Miał być na jakąś epokową miarę. Mój własny, naturalnie, nie nadawał się. Postanowiłem napisać o b a r y k a d a c h. Rok pracy w archiwach i rozmów z weteranami walk barykadowych. Najgorzej z zaangażowaniem wyobraźni. Robiono wówczas w Łodzi batalistyczne kadry do filmu o podobnym temacie. Poszedłem przypatrzyć się przynajmniej. Na ogrodzonej uliczce stał konny oddział kozaków. Palili „Sporty" i opowiadali aktualne kawały, czekając aż robotnicy zbudują barykadę. Za rogiem grupka przebranych w arcyniewygodne stroje statystów biegła, dźwigając puste beczki, skrzynie, deski. Brzegi długich kobiecych sukien wzniecały kurz. Zrzuciwszy swój ładunek na jezdnię statyści zaraz go podnosili, wracali do bramy, znów biegali, zrzucali, wracali, biegali, zziajani, obsypani kurzem jak mąką. Pośrodku uliczki siedział na składanym krzesełku długi Cękalski, pił z butelki lemoniadę, ocierał pot z twarzy i krzyczał w zwinięty w tubę „Przekrój": P o w t ó r z y ć!

Niewiele skorzystałem. Napisałem jednak trzy opowieści. Mam gdzieś komplet wycinków z „Głosu Robotniczego", w którym zostały wydrukowane, ale boję się teraz do nich zajrzeć. Zdaje mi się, że ten rodzaj prozy, beletrystycznie ilustrującej historię, można zaliczyć do przezroczy szkolnych. Jednak właśnie za „Lokaut" dostałem pierwszą nagrodę na konkursie łódzkiego Wydziału Kultury. Jednak całość trylogii została wydrukowana w „Głosie" i nadana w programach radiowych lokalnym i warszawskim. Dzięki tym utworom zaproponowano mi współpracę z jednymi z największych w Łodzi zakładów włókienniczych. Wydało mi się to wyjściem. W znaczeniu podwójnym, bo i wyjściem z ciasnego wtedy podwórka literackiego. Pracowałem dwa pełne lata 1952—53 w charakterze praktykanta, głównie w przędzalni. Zaprowadziłem dziennik i dłuższy czas notowałem po powrocie do domu, nie zważając na zmęczenie fizyczne. A oto bilans faktyczny: dwa reportaże wydane wtedy przez „Książkę i Wiedzę" i kilka drukowanych w prasie (z jednego jestem dumny — po ukazaniu się reportażu bohater jego w przyspieszonym tempie dostał mieszkanie — nie każdy reporter może pochwalić się takim sukcesem!); powieść, którą po napisaniu zniszczyłem (oddałem naszemu Orzechowskiemu do kotłowni); kilkanaście opowiadań, za jedno z nich dostałem w r. 1954 trzecią nagrodę na konkursie „Życia Literackiego"; reszta ukazywała się w łódzkiej „Kronice" i w „Życiu Literackim". Ale książka — dopiero w postaci *BIAŁEGO RUNA* (rok 1962). Więc dwa lata plus dziewięć równa się 160 stronicom. Horacy powiedział: nonum prematur in annum.

Obiektywnie to może się nie liczyć, ale w mojej biografii punktem zwrotnym stał się zbiorek nowel również łódzkich *WIECZORY NAD ŁODKĄ*. Nie zauważona w Łodzi, pierwsza moja proza beletrystyczna, na którą zwróciła uwagę krytyka literacka. Zbiór ukazał się w r. 1959, z opóźnieniem, bo napisałem go parę lat wcześniej, jeszcze przed moją pracą w w zakładach. Zjawisko oczywiście skromne, ale pisząc tę książkę znalazłem swój temat i swoją formę. Tematem — n u t a l u d z k a, formą — opowiadanie w pierwszej osobie. Niektórych to później myliło — autobiografia! Sądziłem, że jeżeli każda moja następna powieść będzie pisana też w pierwszej osobie — nie mojej, lecz mojego bohatera, o biografii za każdym razem innej — to uniknę nieporozumień. Może koncepcja naiwna, ale napisałem już w ten sposób sześć powieści. Sukces pierwszej — UCIECZKI — tłumaczę między innymi jej tematem or-

ganicznie z autorem związanym. Ktoś nazwał tę książkę moim „chińskim skokiem", a to był skok w krainę mojej wczesnej młodości. Krainę bardzo smutną, brutalną, niszczącą, ale taka widać jest recepta na literaturę: mieszanka wczesnych wrażeń zaprawionych trucizną.

— No dobrze, ale przecież UPROWADZENIE BAUCIS tematyką swoją wykracza poza dzieciństwo i młodość, wyrasta z doświadczeń okupacji.

— Tę moją drugą powieść pisałem pięć razy, za każdym — od początku, na nowo. Zdawałem sobie dobrze sprawę, jak trudno i niebezpiecznie pisać ten obsesyjny temat, już tyle razy przez innych wykorzystywany. Wymagania, które stawiałem sobie, były czymś w rodzaju gipsowego gorsetu, prasy pneumatycznej pod wysokim ciśnieniem. Ostatecznie wyszły one powieści na dobre. To druga złota reguła literatury: moszcz winny też się wyciska przez prasę. Zresztą do tematu okupacyjnego powracam w *WYŁĄCZENIU* i w *CZASOBRANIU*, którego główną osią jest myśl o zależności naszych dzisiejszych losów od tragicznych przeżyć wojennych. Recenzentka „Odgłosów" n i e d o c z y t a ł a tej powieści, zadowoliwszy się wstępem, umieszczonym na obwolucie książki. Oczywiście, filozofia czasu nie jest czymś nowym, a po Prouście zdecydowanie w literaturze wtórnym.

— I powiedzmy sobie przy okazji, że do źródeł filozofii czasu można sięgać równie dobrze do Prousta, jak do Bergsona, Poincaré'go, czy... świętego Augustyna. Że wielu „po-proustowskich" pisarzy eksploatowało jego zdobycze, jak zasadę skojarzeniowości, względności, mitologizacji szczegółu, Proustem żywiła się nasza proza międzywojennego dwudziestolecia. I powiedzmy sobie wreszcie najważniejsze, że to, co służyło Proustowi do stworzenia jego genialnych naówczas tasiemcowych książek-dygresji, książek odnóg i labiryntów, właśnie owa skojarzeniowość i wspomnieniowość, to właśnie służy dziś zupełnie innym celom: skrótowości dzisiejszej powieści, jej zagęszczeniu, zwięzłej konstrukcji, jednoczesnemu rozgrywaniu na jednym planie tego co się dzieje z bohaterami książek teraz i co działo się z nimi w przeszłości, ta przeszłość przecież jest zawsze obecna w pamięci ludzkiej, jej nie można sztucznie od działań ludzkich odrywać. Bieda tylko z tym, że niektórym wydaje się, iż ta proza, niesłusznie nazywana prozą „antyfabularną" nie wymaga żelaznej konsekwencji i świadomej konstrukcji, to znaczy posługiwania się owymi retrospekcjami czy wybieganiem w przyszłość o tyle, o ile jest to potrzebne dla wyrażenia myśli konstrukcyjnej — powieści. Ale oczywiście nie to, nie s p o s ó b czyli konwencja jedynie decyduje o wartości książki, lecz to co się ma w tym sposobie do powiedzenia.

— Rzecz jasna.

— W ogóle czy nie zauważył pan, że w nauce na przykład to, co raz zostało wynalezione, jest glebą dla dalszych wynalazków i wszyscy się z tym zgadzają, uważają to za prawidłowy rozwój danej dyscypliny. W sztuce bywa inaczej. Rola niektórych krytyków czy kibiców-obserwatorów polega na tym, że czyhają, jak kozak na tatarzyna na to, co im znanego zapachnie we współczesnej powieści i zaraz hajda! na pisarza: „To już było! To Proust! To nic nowego! Ekspresjonizm, psychologizm, symbolizm, nadrealizm!"

Czy nie sądzi pan, że rozwój sztuki jest podobny do narastania komórek koralowca? To co było, owe różne „izmy" i owe „monologi wewnętrzne" i „strumienie świadomości" — jest wchłaniane przez prozę wstępujących pokoleń, jak tlen przez płuca, pożywienie przez organizm i osadza się w dzisiejszej prozie, stając się jej krwią i ciałem. A jeżeli pewne elementy zaszufladkowanych i na pozór zamkniętych „izmów" odżywają nagle ze szczególną siłą — nie myślę tu oczywiście o czczych igraszkach formalnych, zabiegach naśladowczych itp. sztucznym nawiązywaniu do tradycji — to, czy nie dzieje się tak dlatego, że niekiedy powstają pewne układy społeczno-historyczne, które mają w sobie podobieństwo do układów minionych lat, czy wieków i to ten fakt właśnie powoduje odżywanie w ludziach, a więc i w pisarzach podobnych napięć psychicznych, aktów wyobraźni, toku rozumowania Właśnie chyba to stanowi o jakimś niemal samorodnym pojawieniu się w naszej prozie elementów czy poszczególnych cech symbolizmu, nadrealizmu, które są czymś jak najbardziej wytłumaczalnym, naturalnym i organicznym w tej prozie.

Jakie jest pana zdanie na ten temat?

— Mam do tych spraw stosunek emocjonalny. Stanąwszy twarzą w twarz z nową powieścią myślę zawsze: więc jeszcze jedna powieść! Czy nie wystarczy tych wszystkich, które zostały napisane, wydane, przeczytane, zakwalifikowane, zainwentaryzowane, odstawione na odpowiednią półkę, zmielone na papier w młynach czasu. Poza tym coraz częściej czyta się w artykułach o zmierzchu powieści, a gdy wciąż ukazują się nowe, krytyk uśmiecha się pobłażliwie i kiwa głową, bo nikt w zasadzie już nie wie, co to jest powieść. Kiedyś zdawało się, że istnieje jakaś definicja, że spleciono raz na zawsze z drucików kwalifikacyjnych rubryk klatkę, a w niej umieszczono kartkę z łacińską nazwą tego ptaka. Ale za każdym razem sprawa się jednak komplikowała. Najdłużej decydowała objętość, lecz od kiedy zaczęto pisywać, wydawać i nagradzać tzw. mikropowieści, nawet ta szczególna cecha zawiodła. W końcu za powieść uchodzi nawet zbiór nowel czymś wspólnym zlepionych — czemuż by nie, skoro między powieścią a książką prozy i tak stawia się znak równania. Ostatecznie może być jedynie mowa o tym, co ja, piszący, odczuwam jako powieść...

— Oczywiste, i co pan proponuje...

— I co potrafię zasugerować czytelnikowi. Jeśli idzie o mnie, najtrwalej zapamiętałem *dwie maksymy*. Bohater jednego z filmów Cocteau w pewnej scenie zaczyna szkicować kwiat, ale zamiast kwiatu na rysunku występują rysy jego twarzy, świadek czy głos komentujący mówi: co' byś nie zrobił zawsze to będzie twój portret.

— W sensie metaforycznym, oczywiście. Wie pan, to mi przypomina pewną, symboliczną zresztą, scenę z powieści Andrzejewskiego „IDZIE, SKACZĄC PO GÓRACH. Tam główny bohater, wielki malarz Ortiz, biorąc rysunek młodego Alaina, przedstawiający macierzyństwo — w „szaleństwie aktu twórczego" wyprowadza z niego poprzez zdekomponowanie go własną wizję symbolu-kobiety, wyrażoną notabene jakąś strukturą właśnie kwiatu, plazmy roślinnej. Osiąga wyraz niepowtarzalności, owo piętno indywidualności. Bo o to chyba nam chodzi, prawda. A druga maksyma?

— To słowa Joyce'a: nie piszcie o rzeczach niezwykłych, zostawcie to dziennikarzom. Co zaś do metody, polega ona na dopasowaniu moich własnych doznań do biografii fikcyjnej, co można nazwać d e f o r m a c j ą p a m i ę c i. Poza tym należy stosować to, co robią aktorzy przed wyjściem na scenę: rozluźniać mięśnie.

— Jeszcze jedno. Pańska pierwsza powieść, UCIECZKA była jak najbardziej tradycyjna jeżeli chodzi o konwencję literacką, BAUCIS i CZASOBRANIE daleko od niej odbiegły. A w BIAŁYM RUNIE chyba najciekawsze jest właśnie to, że temat tzw. produkcyjny zmieścił się w pana poszukiwaniach eksperymentatorskich. W związku z tym ciekawi mnie, których pisarzy uważa pan za s w o i c h, to znaczy najchętniej przez pana czytanych, czyje pisarstwo zapładnia pana twórczo?

— Z polskich książek ostatnich lat najbardziej cenię: *LISTY DO PANI Z.* K. Brandysa, *NIEBIESKIE KARTKI* A. Rudnickiego, *ZAPISKI Z MARTWEGO MIASTA* A. Sandauera, *IDZIE, SKACZĄC PO GORACH* J. Andrzejewskiego.

— A z obcych?

— Kiedyś czytałem bardzo dużo. W czasach szkolnych czytałem na bieżące metry, jak stały na półkach książki w bibliotece gimnazjalnej od litery A do Z. Teraz czas na lekturę mam ograniczony pracą. Co pozostawiło najtrwalszy ślad w pamięci: *HOMO FABER* Frischa, *KRAKSA* Dürrenmatta. *HARFA TRAW Capote, DZIKIE PALMY Faulknera, UPADEK* Camusa. Książki do których chętnie od czasu do czasu powracam: *METAMORFOZY* Apulejusza, *MANON LESCAUT* Prevosta, *HUCKLEBERRY FINN* Marka Twaina i może zaskoczę panią tym zestawieniem — *KRAWĘDŹ* Rzezacza.

— Nie zaskoczył mnie pan, byłam nieomal pewna, że pan tę powieść wymieni. Ta, duża wcześniejsza od naszych eksperymentów ostatnich lat, powieść o pisaniu powieści, nie mogła ujść uwadze pana, choć sens i znaczenie tego eksperymentu jest nieco inny.

— Oczywiście, mnie to również nęciło — autopowieść, przy czym pierwszy człon tego złożonego wyrazu wcale nie pochodzi od a u t e n t y k. Słowo sztuka nie przypadkowo ma znaczenie podwójne, dużo w niej zależy od zręczności rąk i zbliżając się do dzieła sztuki należy uważnie patrzeć na ręce autora, aby nie dać się nabrać. Bo istnieje cała linia od Gide'a do Butora i dalej, która biegnie przez ogród fabularnych atrakcji i nie wiele ma wspólnego z prawdziwą autopowieścią. W moim pojęciu taka prawdziwa autopowieść powinna stać się bardziej moralnym aktem, niż zwykłym pokazem sztukmistrza. W książce Rzezacza ujmuje mnie konsekwencja epizodów, ilustrujących teorię wpływu fikcji na rzeczywistość. Nie mam możliwości sprawdzenia — we własnej praktyce nic podobnego nie doświadczyłem.

Rozmawiała: WANDA KARCZEWSKA

10840 - A

uwagi na marginesie

■ Katarzyna Valente, znana gwiazda i aktorka filmowa nagrała ostatnio arie z opery „Carmen". Valente już od kilku lat studiowała klasyczny śpiew.

■ Kanadyjczycy mają dobry smak! Zamówili u amerykańskiego kompozytora jazzowego Edwarda Ellingtona muzykę do tragedii Szekspira „Tymon z Aten". Zamówienie zostało wykonane, muzyka (tytuł: „Tymon z Aten Cha-Cha") została oparta na motywach najulubieńszych współczesnych szlagierów kanadyjskich. Czy zwiększyło to głębię przeżycia dzieła Szekspira? Nie wiemy.

■ We Francji wydano zarządzenie (z mocą obowiązującą od 1 stycznia), według którego za zatruwanie powietrza gazami spalinowymi na skutek defektu motorów grozi kara do 8 dni aresztu. A u nas?

■ Szwedzka cenzura filmowa uznała za szkodliwy i deprawujący film Vilgata Soemansa „491" i zakazała jego wyświetlania. Jest to czwarta z kolei „klątwa", jaką rzuciła ta szacowna instytucja na dzieła twórców filmowych.

■ Władze szkolne w Waszyngtonie wydały zakaz przychodzenia na wykłady uczniom noszącym bujny zarost (brody!). Uzasadnienie: zarost na twarzy młodych ludzi jest świadectwem braku dbałości o wygląd zewnętrzny.

■ Pół roku musieli prowadzić badania naukowe psychologowie z uniwersytetu południowokalifornijskiego, aby dowieść, że marynarze, którzy poddali się kiedyś tatuażowi, częściej się rozwodzą niż marynarze bez tatuażu. Odkrycie to niewątpliwie przyczyni się do lepszego zrozumienia psychiki „ludzi morza".

■ W ostatnim czasie zmarło w Filadelfii 25 osób na skutek spożycia alkoholu metylowego.

■ Zofia Loren zapłaciła ok. 350 milionów lirów podatku dochodowego za rok 1962. Dla porównania podajemy, że dochody prezydenta Włoch Segniego były ok. 30 razy mniejsze. Zośka jest więc najdroższą osobą we Włoszech.

■ Przy wejściu do katolickiego kościoła we francuskim miasteczku Blot znajduje się wypożyczalnia damskich sukien. Przebierają się w niej te wierne, które chodzą w szortach. Napis na tablicy głosi: „Po wyjściu z kościoła proszę znowu powiesić". To się nazywa iść z duchem czasu.

■ 35 obrazów Picassa padło ofiarą pożaru, który wybuchł w galerii w Detroit. Wartość spalonych obrazów ocenia się na 1 milion dolarów. Większość obrazów miała już swych nabywców. Przyczyn pożaru nie ustalono.

■ Boks jest szkodliwy dla zdrowia! Tak głoszą wyniki badań przeprowadzonych w instytucie neurochirurgicznym w Santiago. Na stu badanych bokserów lekarze stwierdzili u 52 trwałe uszkodzenia systemu nerwowego. Na stu zawodowych bokserów, którzy byli na obserwacji — u 84 wykazano obrażenia fizyczne i psychiczne zaburzenia.

■ Ionesco w Rumunii! Teatr komedii w Bukareszcie wystawia „Nosorożca". Sztuka cieszy się wielkim powodzeniem.

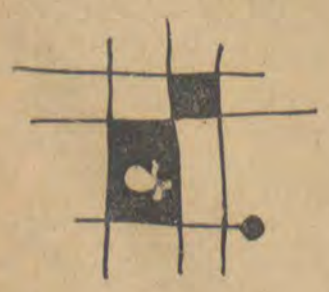

STAROŚĆ MISTRZA

Sędzia ringowy podnosi rękę zasłużonego mistrza. Mistrz wygrał. Znowu wygrał. Za chwile ktoś krzyknie: „Sto lat", ktoś za nim je powtórzy i oto trwa już zgiełk kilku tysięcy podnieconych gardeł. Ale kiperzy z trudem powściągają grymas. Mówią potem, wychodząc z sali: „Wygrał, oczywiście, wygrał, lecz..." Jutro napiszą... Nie, nie napiszą tego, dadzą do zrozumienia, że mistrz najlepsze lata ma już za sobą, że będzie szło mu coraz oporniej, że jest stary. Stary? Przecież mistrz ma 29 lat. Tak jak Pietrzykowski. Albo 27. Tak jak Walasek. Zawodowy mistrz świata Joey Giardello przekroczył trzydziestkę. A tytuł mistrzowski zdobył kilka tygodni temu. Wówczas, gdy po piętnastu rundach wygrał na punkty niemalże ze swoim rówieśnikiem, trochę starszym od niego Dickiem Tigerem. Laszlo Papp jest o 10 lat starszy od Walaska. I nie zamierza przerywać swej bokserskiej kariery. Zdobył mistrzostwo Europy, myśli o mistrzostwie świata. A więc starość, o której napomyka bokserski sprawozdawca, o której wspomina działacz, mówiąc: „Trzeba odmłodzić drużynę" nie jest sprawą biologii. Przeciwnie, można by zaryzykować twierdzenie, że dopiero koło trzydziestki bokser osiąga pełną dojrzałość. Dopiero wówczas uzyskuje ostateczną świadomość swojego rzemiosła.

Być może więc starość jest tu kategorią psychologiczną? Mistrz — ów anonimowy mistrz z felietonu — uprawia boks zbyt długo. Zbyt dobrze zna białą plamę ringu i burzliwą ciemność widowni. Jest już tym zmęczony. Ma dość skakanki i gruszek, obozów treningowych i sparringów. To się powtarza. Od tylu, tylu lat. Staje się jałowe, nużące, nie do wytrzymania. I oto mistrz nie trenuje tak intensywnie, jak mógłby trenować. Wychodzi na ring przygotowany gorzej niż kiedyś. Walczy wciąż jeszcze wygrywa. Pomaga mu w tym nazwisko. Jest przecież mistrzem. Sędzia pamięta o medalach. Ale już ciosy tracą dokładność. Są wyprowadzane za wolno. Mistrz chce kontrować. I spóźnia się. Najgorsza jest trzecia runda. Mistrz w trzeciej rundzie słabnie. Tak jak słabł w trzeciej rundzie Laszlo Papp. Słabł kiedyś, kiedy był jeszcze amatorem. Nim został zawodowcem. Oczywiście, mistrz potrafi to ukryć. Zwalnia tempo w pierwszej rundzie. Zwalnia je w drugiej. Za to końcówkę ma wyśmienitą. Zaiste godne podziwu.

No, dobrze, lecz czemuż znużenie — starość pojęta jako kategoria psychologiczna — omija trzydziestoletnich zawodowców, natomiast chwyta się zaledwie dobiegających trzydziestki amatorów? I tu przychodzi na myśl Papp. Właśnie, Laszlo Papp. Czemuż to teraz nie czeka na koniec trzeciej rundy? Nie modli się o gong po dziewięciu minutach, tak jak pragnął go kilkanaście lat temu w czasie walki z Kolczyńskim? Jest starszy. I ma za sobą więcej walk. I więcej powodów do znużenia. A jednak nie objawia go. Nie zawodzi go kondycja, która do tej pory nigdy nie była jego silną stroną. I tu zaczyna się problem centralny. Bo nie znużenie każe naszym mistrzom poczynać sobie w ringu z mniejszą niż dotąd sprawnością. A już na pewno nie samo znużenie. Nie byle jaką rolę odgrywa tu coś innego. Odgrywa tu świadomość zbliżającego się końca bokserskiej kariery.

Za 10 lat mistrz będzie już sfatygowanym mistrzem. Będzie już i zmęczony i stary. Tym razem naprawdę stary, biologiczną starością. Mistrz zdaje sobie z tego sprawę. Wie, że wówczas nadejdzie czas, kiedy będzie musiał odejść. Kiedy będzie leżał na ringu, oszołomiony, nieświadomy tego, co zdarzyło się przed chwilą i będzie powtarzał sobie: muszę wstać, wstać, wstać, lecz ciało stanie się oporne jakby było cudzym ciałem. Będzie powtarzał: wstać, nie pojmując dlaczego ma wstawać, po co. Dopiero potem, po chwili, zorientuje się, może powie mu to dopiero sekundant, że przegrał, że to był właśnie nokaut. Tak wygląda koniec. Efektowny, widowiskowy koniec. Trzeba rzucić boks, zawiesić na kołku rękawice, zmienić zawód. Dotychczas mistrz był bokserem. Przede wszystkim jeśli nie wyłącznie bokserem. Boks traktowany serio jest dzisiaj uciążliwym zajęciem. To praca, męcząca, ciężka praca. Widz domaga się nie boksu uprawianego dorywczo, w wolnych chwilach, niemalże dla przyjemności. Widz żąda boksu na serio. Trzeba się podporządkować widzowi. I robić boks. Tak jak krawiec robi płaszcz. Jak stolarz robi meble. Boks jest umiejętnością, którą należy opanować. Jest sprawą inwencji, ale i sprawą fachu. Tyle tylko, że fach to krótkotrwały, związany z wiekiem, a raczej z pracą organizmu. Po czterdziestce na nic zdają się wielkie umiejętności i wielka pomysłowość. Po czterdziestce trzeba wycofać się z ringu. Mistrz wie o tym. Musi więc szukać innego zawodu. Potem trudno jest zaczynać wszystko na nowo. Trzeba to zrobić wcześniej. Gdy ma się jeszcze 27 albo 29 lat. Trzeba więc zaniedbać trening. A nawet zrezygnować z kilku mniej atrakcyjnych wyjazdów. Przysiąść nad książką. I z mozołem robić maturę. Pocić się nad maturą. Wkrótce będzie już za późno. Teraz można jeszcze zdyskontować swoje medale. Swoją przelotną, chwilową pozycję społeczną. Pozycję wielkiego mistrza. Potem... Potem zamkną się otwarte drzwi. Stanie się to tak nagle, że mistrz nie będzie chciał w to uwierzyć. Ale uwierzy. I cóż mu pozostanie z pięknej kariery? Okruchy pamięci. Hałas dopingu, fałszowane „sto lat", zmięte wycinki z bokserskich sprawozdań. I opowieści o dawnej chwale. Rwące się, niewydarzone, zgrzebne opowieści, dla których będzie szukał słuchaczy. W opowieściach będzie znowu wchodził na ring. Znowu zwyciężał. Będzie znakomity. Będzie wielki. W opowieściach, które staną się monologiem wygłaszanym do lustra. Bo nikt nie będzie ich już słuchał. Nikt im nie uwierzy. Zostanie monolog, głuchy, pusty monolog o utraconej świetności i zagubionym prestiżu. Zostaną pretensje do nagle zamykających się drzwi, które chwilę temu stały jeszcze otworem. I mitomania. Świat — choć na kilka sekund — zaludniony projekcją własnych pragnień.

Tego boi się mistrz. Może ukrywa to przed samym sobą? Może boi się i nie chce się przyznać do lęku? Nie wiem. Ale myślę, że dlatego — między innymi dlatego, obtłukuje gruszkę z mniejszą energią. I z mniejszym zapałem uprawia footing. Już wkrótce niewiele mu to przyniesie. Nie będzie z tego żył. Zastanawia się nad tym z czego żyć mu przyjdzie. Za 8, 10 lat. Uczy się nowego zawodu. Przystosowuje się do innego świata. Świata bez obozów kondycyjnych i bez bokserskich oficjeli. I to jest właśnie starość. Starość 27 czy 29-letniego mistrza. Zaczyna się wówczas, gdy osiąga on bokserską dojrzałość. Kiedy jest najlepszy. I kiedy najlepszym być nie może.

Punch

Zobaczyć to zrozumieć

„Piszcie, ale krótko..."
(Pan Redaktor)

Słusznie. Spinoza był pszczołą.

Dziadzio Asnyk byłby oburzony. Jakże — nie skomentować poglądów filozofa, nie roztkliwić się nad lotem pszczółki, nie przestrzec czytelnika, by nie brał metafory zbyt dosłownie? A tu: najmniej słów. Spinoza był pszczołą. Klucz do obrazu.

Ale czytelnik teraz wszystko rozumie, a jeśli nie rozumie, też jest zadowolony, widocznie szczęścia mu to nie mąci. Bo kto — oprócz młodzieńców oblegających kioski z piwem — ma dzisiaj czas na czytanie filozoficznych poematów?

Nie mamy czasu. Dziwny paradoks epoki, która mnoży wynalazki, by ułatwić pracę ludzką i skrócić odległości.

Powiada Husserl: „Potęgując środki władzy technicznej, człowiek nieustannie powiększa dystans między własną umiejętnością operowania rzeczami a zdolnością ich rozumienia".

Była ongi kultura żywego słowa. Szamani zaklinali złe moce, lirnicy i waganci krążyli od sioła do sioła, w długie wieczory ciągnęły się przy ognisku opowieści, klechdy i sagi. Nawet wiedzę praktyczną podawano z ust do ust, przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Później wynaleziono druk. Wiedzę i poezję wtłoczono w księgi, heroldów wykrzykujących po rynkach obwieszczenia zastąpił afisz. Ale magia słowa trwała nadal: zrywała pieczęcie tajemnic mądrości, wskazywała wzorce obyczajowe, podpowiadała zaklęcia — nieodzowne akcesoria miłosnego rytuału. Ludzie zdobywali zasób wyrazów, mówili pełnymi zdaniami, kształcili język — giętkie narzędzie myśli. Bo przede wszystkim książki uczyły myśleć, więcej, sprzyjały nawykowi myślenia krytycznego. Po prostu — książkę można w każdej chwili odłożyć, pomedytować, podyskutować w duchu z autorem. Spróbujmy to zrobić w kinie.

Apogeum tej cywilizacji książkowej przypada na dziewiętnaste stulecie, epokę wybujałego indywidualizmu. Wiek dwudziesty wynalazł „comicsy" i slogan: „mowa-trawa", Zapaliło się czerwone światło i dwa strumienie samochodów zastygły w miejscu. Padł sygnał i kierowcy niemal równocześnie, automatycznie pocisnęli hamulce. Nikt nie rozumował, nie zastanawiał się „dlaczego" — podziałał odruch warunkowy. Bo też znaków drogowych nie trzeba rozumieć, wystarczy je rozpoznać. Bodziec ma być dostatecznie mocny, a refleks dostatecznie szybki, dialogu się nie przewiduje. Co by to było, gdyby w momencie krytycznym, człowiek za kierownicą, zamiast działać instynktownie, zaczął logicznie myśleć? Jak wykazują badania amerykańskie, intelektualiści są najgorszymi kierowcami. Mają zbyt wiele wyobraźni, nie poddają się koniecznej tresurze.

Czerwone światło na skrzyżowaniach ulic obwieszcza koniec cywilizacji werbalnej. Nadchodzi epoka znaku, informacji wizualnej, wrażenie zmysłowe zastępuje argumentację przemawiającą do intelektu. Widzenie ma wielką przyszłość.

Czyżbyśmy wracali do prymitywu, do pisma obrazkowego, tamtamów i wici? Czyżbyśmy przekroczyli szczyt postępu i po kole historii zsunęli na dno barbarzyństwa? Nic podobnego.

Cywilizacja wizualna jest naturalnym i koniecznym efektem rozwoju techniki. Maszyna pracuje szybko i wydajnie, ale jest narzędziem czułym i skomplikowanym, wymaga sprawnej obsługi. Jest posłuszna, ale nie zna wahań ani zwątpień, jej partner musi się ich pozbyć. Człowiek stworzył maszynę i zaprzągł do pracy, by przekształciła świat ku jego wygodzie, ale sam z kolei musiał się jej podporządkować, musiał zautomatyzować swój gest, przystosować do tempa jej działania. Musiał nauczyć się spontanicznych reakcji, myślenie dyskursywne — nizanie przesłanek i wyciąganie wniosków — okazało się w praktyce bezużyteczne. Trwa zbyt długo, a odzew na sygnał winien nastąpić czasem w ułamku sekundy. Na przykład w samolocie supersonicznym.

Nie myśleć, akceptować prawa narzędzia — nazywamy to standaryzacją.

Źle to, czy dobrze? Popatrzmy od strony jaśniejszej. Na całym świecie funkcjonują podobne maszyny, identyczne sygnały wyzwalają identyczne odruchy. Wbrew nacjonalizmom, niezależnie od podziałów klasowych, ustrojowych, geopolitycznych wytwarza się prawdziwy, międzynarodowy język znaków, uniwersalna wspólnota gestów. Zaczynamy się lepiej rozumieć

HENRYK ANDERS

Zdarzenia relacje komentarze

TRISTAN TZARA – twórca dadaizmu

25 grudnia ub. roku zmarł w Paryżu, w wieku lat 69, pisarz francuski Tristan Tzara — zwany papieżem dadaizmu. Rumun z pochodzenia, uważany jest Tzara wraz z poetą niemieckim Hülsenbeckiem i malarzem z Alzacji Arpem, za twórcę dadaizmu, kierunku literackiego i artystycznego, który narodził się w zuryskim kabarecie „Voltaire". 8 marca 1916 roku, podczas zebrania wspomnianych wyżej artystów, Tristan Tzara otworzył słownik języka francuskiego przypadkowo na słowie: dada, co dało początek nazwie ruchu. Dada oznacza w języku dzieci małego konika, przypomina również gaworzenie. Z czasem przyłączyli się do tych pierwszych dadaistów, nowi członkowie, m. in. Hugo Ball, Louis Aragon i André Breton, który w stworzonym przez siebie surrealizmie kontynuował dadaizm.

W roku 1918 Tristan Tzara ogłosił „Manifest Dada", w którym taką dawał receptę na napisanie wiersza: „Weźcie jakąkolwiek gazetę, weźcie nożyce, wyszukajcie jakiś artykuł, pokrajcie go, wytnijcie wszystkie słowa i wrzućcie do woreczka, a następnie potrząśnijcie...".

Choć wszystko to brzmi dzisiaj dziwacznie, trzeba stwierdzić, że za tymi ekstrawagancjami kryły się rzeczy poważne. Dadaizm był swoistą formą buntu przeciwko zastanej sztuce burżuazyjnej, dążył do zerwania z nakazami i normami moralno - obyczajowymi starego świata. Głosząc kult sztuki żywiołowej, irracjonalnej, przeciwstawiał się skostniałym, zrutynizowanym formom w poezji i malarstwie. Hans Arp tak np. realizował dadaizm w malarstwie: na rozłożone na podłodze płótno lat z pewnej wysokości farbę, która tworzyła przypadkowy zestaw barwnych plam. Dadaiści propagowali swój kierunek w sztuce, urządzając odczyty, występy poetyckie, zebrania połączone z wygłaszaniem manifestów itp. Najwięcej zwolenników mieli dadaiści we Francji, głównie dzięki działalności Tristana Tzara, który od r. 1919 zamieszkał na stałe w Paryżu. Redaktor czasopisma „Dada", autor licznych zbiorów wierszy i esejów, wywierał Tristan Tzara przez wiele lat wpływ na francuskich i zagranicznych pisarzy. Miał on swoich zwolenników i w Polsce, zwłaszcza pośród futurystów. Jeden z almanachów futurystycznych nosił tytuł „Gga" — na wzór „dada", skojarzony tym razem z gęganiem gąsiora.

Po ostatniej wojnie, choć Tristan Tzara nie zaprzestał publikowania swoich utworów, nie miał już właściwie wpływu na powstawanie i rozwój kierunków literackich i artystycznych.

(Autorem rysunku jest jeden z ilustratorów Tzary-Arp).

J. K.

775-LECIE

„Słowo o wyprawie Igora" — taki tytuł nosi epos bylinny, który ukazał się w przekładzie polskim J. Tuwima w 1928 roku ze wstępem wielkiego slawisty, Aleksandra Brücknera.

Pisma radzieckie poświęciły wiele uwagi rocznicy eposu. Poeci opracowali nowe transpozycje poematu. „Litieraturnaja Rossija" opublikowała współczesna transpozycję M. Rylenkowa, urywki swoich nowych przekładów drukowali A. Stiepanow i spółka: A. Sendyk, S. Szerwińskij.

W „Litieraturnoj gazietie" poeta Ilija Selwińskij napisał:

„Słowo o wyprawie Igora" — to gniazdo, z którego wyleciała cała rosyjska poezja. Ten poemat na całe przyszłe siedem stuleci nadał jej głosowi tembr, słowu — ważkość, piecom — rozmach, oczom — widnokrąg.

Autor, który ani razu nie poczuł się Bojanem, nigdy nie stanie się wielkim rosyjskim poetą. Nie bez przyczyny tchnienie tego poematu i przekładów, wspominanajbardziej różnych mistrzów — od Puszkina i Lermontowa do Bunina, Błoka, Bagrickiego"...

Profesor D. Lichaczew, przypominając dzieje poematu i przekładów, wspominając o różnych ich próbach, o tłumaczach często bezskutecznie borykających się z formą oryginału i słownictwem — polemizuje jednocześnie z tymi, którzy w przeszłości kwestionowali autentyczność „Słowa o wyprawie Igora".

Lichaczew stwierdza: „Przygotowujący się obecnie do wydania w Instytucie Rosyjskiej Literatury Akademii Nauk słownik „Słowa o wyprawie Igora" pokaże, iż słownictwo i frazeologiczne paralele do „Słowa" znajdują się w setkach zabytków staroruskiej literatury... i to, być może bardziej niż inne fakty, zaświadczy o autentyczności tego wielkiego zabytku naszej starej kultury, nie da się bowiem wyobrazić, żeby domniemany falsyfikator był większym znawcą rosyjskiej kultury, rosyjskiej literatury, niż uczeni, którzy go wydawali, i żeby znał te zabytki, które zostały odkryte w wiele lat po nim"...

Znany i u nas ze swego dorobku, nestor grafików rosyjskich, ilustrator książek, W. Faworski przygotował po raz czwarty drzeworyty do „Słowa o wyprawie Igora".

MUZEUM CHAGALLA

W Jerozolimie otwarte zostanie w bież. roku muzeum Marka Chagalla. W muzeum tym znajdą się obrazy Chagalla, jego witraże, oprawy do książek, szkice o tematyce żydowskiej, wyroby ceramiczne, rzeźby. Warto tutaj przypomnieć, iż Chagall jest malarzem pochodzenia żydowsko-rosyjskiego, ur. w 1887 roku w Witebsku, studiował w Petersburgu.

MOSKWA — GENEWA

W atelier „Biełaruśfilm" dobiega końca praca nad filmem pod powyższym tytułem. Film ma być opowieścią o dyplomacji radzieckiej, o walce z bojkotem młodej republiki przez kraje kapitalistyczne, obejmuje duży okres przeszłości, zaczyna się od pierwszej wojny światowej, a kończy w 1922 roku, w czasie konferencji genewskiej.

Będą w nim pokazane również i postacie historyczne: dyplomaci radzieccy — Cziczerin, Krasin, Litwinow, Ludwik Barthou, Lloyd George, Hemingway...

„SPRAWY RODZINNE"

Okazuje się, że sto lat temu, w grudniu 1863 roku zmarła w Petersburgu żona Puszkina, słynna z piękności Natalia. Jaka szkoda, że nie mamy szerszego opracowania, poświęconego życiu żony poety. Umarła w wieku lat 52 jako Natalia Łanskaja. Jedna z ówczesnych gazet pisała w związku z tą wiadomością: „Imię jej należy do historii literatury rosyjskiej, która, oczywiście, z czasem zbada, jaki wpływ wywarła ta kobieta na los i twórczość poety".

W tymże grudniu, w 45 rocznicę śmierci Anny Dostojewskiej — żony, przyjaciela i pomocnika pisarza — redakcję „Literaturnoj gazety" odwiedził wnuk, inżynier Andrzej T. Dostojewskij.

Jak wiadomo, piękną postać Anny żywo przedstawił Stanisław Mackiewicz w monograficznej opowieści „Dostojewski".

HANNAH ARENDT O EICHMANNIE

Sensację nie lada wzbudziła w Ameryce i Europie zachodniej książka Hannah Arendt pt. **Eichmann in Jeruzalem (Report of the Banality of Evil).** Jako naoczny świadek procesu Eichmanna, pokazuje autorka w zwięzłym, często wstrząsającym opisie, hitlerowską machinę likwidacji Żydów. Bezlitosna analiza ofiar i wykonawców spowodowała falę ataków na autorkę, która pozwoliła sobie na uwagi, że w niektórych przypadkach do śmierci Żydów przyczyniła się również obozowa administracja żydowska. M. in. zaatakował autorkę wybitny filozof Martin Buber, twierdząc, że teza o współwinie niemieckich Żydów narodziła się w fantazji Hannah Arendt i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

KAFKA PO FRANCUSKU

Po raz pierwszy ukazały się we Francji dzieła wszystkie Franza Kafki, zawarte w ośmiu tomach. Ponad dwieście rysunków do tego kosztownego wydania wykonał znany karykaturzysta Tim. Cena jednego tomu wynosi 75 franków, nic więc dziwnego, że dzieła Kafki ukazały się w serii „Cercle du Livre Precieux".

Co piszą inni

FORMAT MAŁY, PAPIER ZŁY

W 12 numerze „Twórczości" Zdzisław Najder prezentuje listy Conrada-Korzeniowskiego do sióstr Anieli i Karoli Zagórskich, odnalezione w archiwum francuskiego biografa Conrada, Jean-Aubry'ego. **„Posyłam Ci** — pisze Conrad — **Arrow of Gold w nowym, tańszym wydaniu — wygląda jednak całkiem przyzwoicie; oraz Youth — format mały, papier zły, ale druk dość dobry. Typhoon jest w tej chwili out of print".**

Cytowany fragment listu pochodzi z roku 1921. Format mały, papier zły, a „Tajfun" out of print czyli wyczerpany: okazuje się więc, że i Conrad — i to u szczytu sławy — miał kłopoty z papierem i z wydawcami, i że książki wielkiego pisarza były trudno dostępne. Nie były to przecież z pewnością kłopoty równe naszym. O tych kłopotach, o kłopotach i troskach polskiego pisarza współczesnego, w tym samym numerze „Twórczości" pisze Jarosław Iwaszkiewicz. Oczywiście, chodzi o brak papieru:

„Nie chodzi tu już o nasz miesięcznik, nie chodzi nawet o sytuację prasy, która w nieznacznej tylko mierze spełnia swoje zadania. Pism jest za mało — zwroty dochodzą do 2%, czego w ogóle nie ma na świecie. Spadek ilości książek przypadających na jednego mieszkańca jest niepokojący, sprawa ta kształtuje się u nas, niestety, zupełnie inaczej niż u naszych sąsiadów, w Związku Radzieckim czy w Czechosłowacji, gdzie liczba ta wzrasta nieustannie".

Sprawa braku papieru kłopoce przede wszystkim pisarzy: nie ukazują się wznowienia, spadają nakłady książek, ukazuje się coraz mniej nowych tytułów. Ale sprawa to szersza i nie tylko o pisarzy tu chodzi. Chodzi bowiem — używając wielkich słów, nie przesadzimy tu ani o jotę — o losy kultury polskiej. I o tym mówi Iwaszkiewicz: **„Brak papieru godzi przede wszystkim w to, co mamy najcenniejszego: w przyszłość. Jak wychowywać dzieci bez książek i bez zeszytów? Jak zamieniać zapadłe miasteczka i zabite deskami wioski w ośrodki kulturalne — bez papieru?"** Felieton Iwaszkiewicza jest ostrzeżeniem i apelem: **„mimo wszystko muszą się znaleźć jakieś środki, aby zapobiec temu stanowi rzeczy, który pogarsza się z miesiąca na miesiąc".**

CO SIĘ PODOBA AMBASADOROM?

Pierwszy tegoroczny numer „Tygodnika Kulturalnego" przynosi odpowiedzi na pytania, z którymi redakcja zwróciła się do ambasadorów państw obcych, akredytowanych w Warszawie. Ambasadorowie mówią jakie wydarzenie roku 1963 w ich krajach uważają za najważniejsze, składają nam życzenia noworoczne, a także odpowiadają na pytanie: jaki zakątek naszego kraju najbardziej się Panu podoba? Oto kilka odpowiedzi miłych nam, a przy tym wiele mówiących o tym, co nazywamy charakterem narodowym. Ambasador ZSRR, Awierkij Aristow: **„Pierwszeństwo oddam chyba uroczej Warszawie z jej pięknymi ulicami, nowym budownictwem i cudnymi parkami".** Ambasador Wielkiej Brytanii, George Lisle Clutton: **„Zwiedziłem prawie wszystkie strony Polski i byłoby rzeczą niesprawiedliwą i być może kontrowersyjną z mej strony powiedzieć, którą okolicę lubię. To prawdopodobnie zależy od mego usposobienia i pory roku".** Ambasador Francji Pierre Charpentier: **„Pozostaję pod urokiem poezji polskiego krajobrazu: chmur przepływających nad szerokimi równinami, bogactwa kolorystycznego lasu po pierwszych chłodach złotej jesieni, głębokiego spokoju brzóz i świerków, uginających się pod ciężarem śniegu, ciszy jezior o wschodzie słońca, szumiących wodospadów górskich".**

SZWAGIER BIELANKINA

„Jeszcze dziś — wspomina w „Życiu Literackim" Konrad Bielski — mam przed oczyma szczupłego pana w

POLONICA

POLSKA POEZJA PO ROSYJSKU

Przede wszystkim: ujrzała światło dzienne długo przygotowywana dwutomowa antologia poezji polskiej, będąca przeglądem od Reja i Kochanowskiego po Pasternaka (Leona, oczywiście) i Różewicza. Czy ujrzą ją nasze oczy, trudno powiedzieć. Przecież niedawno jeden z krytyków — z kolei radzieckich — skarżył się, iż zainteresowani nie widzieli naszej „Antologii poezji polskiej 1914—1939"! Mamy ożywione kontakty kulturalne, wiele jest kanałów kontaktujących (Ministerstwo Kultury, Wydawnictwa, TPP-R, Kluby MPiK), a jednak... kanały często się zamulają! Sprawa do wyjaśnienia!

W cyklu „Skarbnica poezji lirycznej" ukazał się w Moskwie nowy wybór liryków mickiewiczowskich. Szczególnie ładnie wydany tom z przedmową Maksyma Rylskiego (autora przekładu „Pana Tadeusza" na ukraiński, wybitnego poety i znanego mickiewiczologa) zawiera wybór z „Ballad i romansów", sonetów i utworów z lat różnych. Przekłady, jeśli chodzi o poetów współczesnych, należą do Martynowa, Antokolskiego, Kirsanowa, niedawno zmarłego Marka Żywowa.

Ostatnio bawi w naszym kraju, zaproszona przez Zarząd Główny Zw. Lit., delegacja pisarzy-tłumaczy z literatury polskiej. Przewodniczy jej redaktor miesięcznika „Woprosy litieratury" W. Ozierow, w jej skład wchodzą: M. Czukowskij, D. Samojłow, D. Pawłyczko, S. Swiackij i W. Borysow.

Młody tłumacz z Leningradu Światosław Swiackij szczególnie dużo uwagi poświęca utworom Słowackiego. Mikołaj Czukowskij, syn autora arcypopularnej książki o dzieciach „Od dwóch do pięciu", w roku ub. wydrukował w „Nowym mirze" kilka fragmentów z „Kwiatów polskich" Tuwima, poprzedzając je dłuższą notą, informującą o miejscu (Brazylia, St. Zjednoczone) i czasie (1940—44) powstanie poematu.

Oto jak brzmi po rosyjsku jeden z łódzkich urywków poematu:

Siewodnia Łodź jawiłaś
w Rio
Idu gulat — miecztie
wósled,
Kuda? Na Awenidy? Niet,
Wdol po Korotkoj do
Nawrota —
Wpieriod, nazad, do
poworota...

POLACY W OCZACH BOSWELLA

W Londynie ukazała się pękata książka pod tytułem WSPÓŁCZEŚNI HISTORYCY BRYTYJSCY. Ma ona charakter antologijny i zawiera fragmenty prac różnych autorów. Najbardziej zainteresował nas rozdział z pracy A. B. Boswella (1884—1962) pt. „Poland and the Poles" dotyczący charakterystyki narodu polskiego. A. B. Boswell przebywał przez pięć lat (1908—1913) w Warszawie, gdzie pracował pod dyrekcją Tadeusza Korzona w Bibliotece Zamoyskich. Po powrocie do Anglii, był wykładowcą slawistyki w Liverpoolu przez lat blisko 40. Jego książka, napisana z pozycji życzliwości dla Polski, nie była nigdy na nasz język tłumaczona. Oto charakterystyczny pasus z rozdziału o cechach narodu polskiego: „Główna cecha Polaka to mocny indywidualizm. Przejawia się on w jego życiu prywatnym, w jego wypowiadaniu się nieraz graniczącym z fantazją, niecierpliwości z jaką znosi dyscyplinę i dozór. Widać to w życiu uczonych i artystów, przewija się przez historię polskiego życia państwowego. Polacy jak wszyscy Słowianie mają bujną wyobraźnię. Ta cecha charakteru wyraża się różnie. Niekiedy doprowadza do zupełnej bezpłodności intelektualnej, zaniku woli. Częściej prowadzi do marzycielstwa i braku poczucia rzeczywistości. Polak miał zawsze poczucie piękna abstrakcyjnego. Znajdowało to wyraz w poezji, muzyce, da się dojrzeć w oczach każdego Polaka. Wyobraźnia wpływa na Polaków i pod innym względem: są wielkimi podróżnikami".

Uwagi Boswella są bardzo interesujące, nawet jeśli niezupełnie odpowiadają naszym własnym wyobrażeniom o sobie.

STYKA W AMERYCE

W jednym z ubiegłorocznych magazynów amerykańskich „Show", który dotarł do nas z opóźnieniem, przeczytaliśmy duży artykuł, poświęcony losom wielkiego płótna panoramicznego Jana Styki „Ukrzyżowanie". W numerze znajduje się również specjalna wkładka z reprodukcją tego obrazu. A oto historia amerykańskich perypetii Styki, podana w skrócie. Pewnego dnia w początkach roku 1904 do paryskiej pracowni Jana Styki na Place Pigalle, zgłosił się ktoś, kogo malarz nazwał „pan B." i poprosił Stykę, aby zgodził się wystawić Golgotę w St. Louis. Styka, który był równie niezaradny co naiwny, przystał na propozycję natychmiast i wraz z „Ukrzyżowaniem" wysłał na amerykański adres pana B. jeszcze 15 ilustracji do „Quo vadis" Sienkiewicza i 40 innych szkiców i obrazów. Mijały tygodnie, a Styka nie otrzymywał żadnej wiadomości. Listy, które wysyłał do pana B., wracały z adnotacją poczty „adresat nieznany". We wrześniu 1904 roku Jan Styka wybrał się wraz z synem swoim w podróż do Ameryki na poszukiwanie zaginionych obrazów. O swoim pobycie na nowej ziemi pisze Styka w pamiętniku: „Pięć miesięcy, które spędziłem w Ameryce, uważam za najgorsze piekło, w jakim przyszło mi żyć na tej ziemi. Zacząłem szukać złodziei moich obrazów i musiałem ryzykować życie, ponieważ ludzie strzelali do siebie na ulicach. Walczyłem z kryminalistami, ale prawo amerykańskie nie udzieliło mi poparcia, ponieważ byłem cudzoziemcem, zaś pan B. obywatelem amerykańskim".

Jan Styka wrócił do Europy z pustymi rękami. Nigdy już nie ujrzał „Ukrzyżowania", a wiele ilustracji i obrazów, które podobno strawił jakiś pożar, wykonał na nowo. „Ukrzyżowanie" odnalezione, wystawiono w r. 1911 w Chicago pod protektoratem samego Paderewskiego. Z czasem wybudowano w Kalifornii specjalny pawilon za cenę półtora miliona dolarów, w którym umieszczono „Ukrzyżowanie". O rozmiarach płótna może świadczyć fakt, że Styka pomieścił na nim 1.123 postacie, z tym, że osoby znajdujące się na pierwszym planie są naturalnej wielkości. Utrzymanie pawilonu z panoramą Jana Styki kosztuje rocznie 40—50 tysięcy dolarów. Od r. 1951 do połowy roku 1963 obejrzało „Ukrzyżowanie" pięć milionów ludzi.

Cóż rzec na to wszystko? Chyba mylił się Boy pisząc w „Słówkach" złośliwy wierszyk o Styce. Dzieło jego zasłużyło sobie na lepszy los. Przytoczona powyżej historia wielce jest pouczająca. Cudze chwalicie itd.

KSIĘGA PRZYSŁÓW

W Stuttgarcie, nakładem Steingrüben - Verlag, ukazała się antologia PRZYSŁOWIA NARODÓW, zawierająca porzekadła europejskie, azjatyckie, amerykańskie, afrykańskie i australijskie. W grupie przysłów europejskich znajduje się również kilka polskich. Wyjmujemy jedno z nich: „Łatwiej upilnować worek pchel, niż młodą dziewczynę". Mamy pewne wątpliwości, czy jest to przysłowie

okularach, jak ostrożnie kroczy po wąskich chodnikach Uściługa starannie omijając wielkie kałuże i skupiska błota. Czasem mu towarzyszyła równie szczupła, bardzo elegancka pani. Wtedy zwykle nasze panie trącały jedna drugą i mówiły: o, widzisz, idzie ten muzyk z żoną. A najczęściej: o, idzie szwagier Bielankina".

Kto, poza wspominającym, wie, kim był ów Bielankin? Kto wie, gdzie leży Uściług? O szwagrze Bielankina coś przecież każdy słyszał. Nosił on bowiem nazwisko Igor Strawiński. Ale w latach, które Bielski wspomina, w Uściługu, Strawiński był tylko szwagrem Bielankina. Przede wszystkim szwagrem Bielankina. Nie Strawińskim, a szwagrem Bielankina. A przecież postacią niezbyt ważną. Ot, szwagrem, bywalca zachodnich stolic, Bielankina. **„Dochodziły czasem słuchy o sukcesach twórczych naszego sąsiada, ale nawet na chwilę nikt z nas nie pomyślał, że mogą one dorównać znaczeniem takiemu np. Moniuszce".**

Tak to nas oślepia, o mieszkańcy Uściługa, brak perspektywy. Po latach okaże się, kim był Iks, a kim szwagier Iksa. Po latach okaże się kto był — już przed laty — nieśmiertelny. Kto Moniuszce dorównał, kto Moniuszkę przerósł. Dopiero po latach. Błogosławiony ów brak perspektywy, pozwalający nam wszystkich naszych współczesnych uważać za, równie jak i my, śmiertelnych.

Boileau

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO,
O REPERTUARZE TEATRÓW ŁÓDZKICH
O „ODGŁOSACH",

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najcelniejsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY"

pochodzenia polskiego, choć przyznajemy, że prawda w nim zawarta jest nie byle jakiej wagi.

NIEMCY O POLSKIM FILMIE

Manfred Delling w artykule „Film niemiecki nie istnieje" (Die Welt. 28 grudnia 1963 r.) nie szczędzi słów krytycznych pod adresem kinematografii zachodnioniemieckiej. Podsumowując dorobek 1963 r. autor stwierdza, że wyprodukowano wprawdzie w NRF szereg filmów, ale film niemiecki nie liczy się, i nie istnieje. Sytuację ratowały w r. 1963 importowane filmy zagraniczne, w ich liczbie również polskie. Delling pisze: „Chociaż wciąż jeszcze utrzymują się u nas nowe dzieła Hasa i Kutza, mamy, na szczęście trzy inne jeszcze rzeczy z Polski: frapujący debiut Polańskiego „Nóż w wodzie" zaangażowaną, społecznie krytyczną komedię Chmielewskiego „Ewa chce spać" i wersję filmowa Lady Mackbet w reżyserii Andrzeja Wajdy".

Tak więc zainteresowanie filmem polskim nie tylko nie maleje, lecz przeciwnie: wzrasta, wytrzymując skutecznie konkurencję innych krajów.

POLONICA

ADOLF SOWIŃSKI

W ostatnich latach muszę zbyt często wspominać lub pisać o przyjaciołach, którzy odeszli. Do nich zaliczam zmarłego w grudniu ub. r. w Warszawie pisarza, poetę i tłumacza, Adolfa Sowińskiego. Urodził się w 1914 roku w Kielcach, tam spędził lata szkolne, studia filologii klasycznej odbył w Warszawie i z tym miastem związał się najsilniej. Jako poeta debiutował w 1939 roku tomem wierszy pt. „Gospoda zmierzchu". Po wojnie znalazł się w Łodzi i był przez kilka lat współredaktorem „Kuźnicy". Działał przede wszystkim jako tłumacz i krytyk, ogłosił następujące rzeczy: małą biografię ks. Ściegiennego (1948), szkic o Schillerze (1955), zbeletryzowaną opowieść pt. Lata szkolne Stefana Żeromskiego (1954, drugie wyd. 1956) oraz Wybór wierszy i przekładów (1956), gdzie zamieścił utwory greckie, łacińskie, francuskie i niemieckie. Szczególnie zasłużył się jako tłumacz i komentator dzieł klasyków niemieckich. Wydał dwutomowy wybór z własnym wstępem poezji Heinego, trzy tomy Schillera (1955) i Dzieła wybrane Lessinga (1959). W rozmowach ze mną dużą wagę przykładał do swoich przekładów z literatury francuskiej, a w tym bardzo sobie cenił przekład powieści A. France'a „Na białym kamieniu".

Przed naszym pierwszym spotkaniem w Wiedniu znałem GO przede wszystkim jako autora książki o Żeromskim i tłumacza wierszy Gottfrieda Benna — Sowińskiemu zawdzięczam, że Benn stał się moim ulubionym poetą, potrafił go przenieść wiernie i sugestywnie w wymiary polszczyzny. Powtarzałem MU to niejednokrotnie, pamiętam dobrze, jak cieszył się moimi słowami. Jego satysfakcja nie wynikała z próżności, cieszyła GO nie tyle pamięć, że ktoś nie przeszedł obojętnie obok JEGO trudu, że w Polsce doceniają te dokonania. W Wiedniu znalazł się jako attache kulturalny naszego (ówcześnie, 1955) poselstwa i tak się złożyło, że został w tym mieście wskutek zupełnie osobistych okoliczności. Bywałem w JEGO domu w ciągu wielomiesięcznego pobytu (1962/63) co najmniej dwa razy w tygodniu. Czuł się już chory, i wiedziony — tak mi się to teraz wydaje — jakimś katastroficznym przeczuciem zbliżającego się końca nakierowywał nasze rozmowy na sprawy i sprawki polskie. Wiednia nie lubił, w tym okresie nie lubił nawet niemczyzny, nie mogłem GO nigdy zaciągnąć nawet na spacer pięknym Ringiem. Wyjeżdżaliśmy tramwajem na przedmieścia albo szliśmy do jakiejś winiarni, Adek lub ja zamawialiśmy „ein Viertel Heurigera" i przy tym sikaczu gawędziliśmy o Polsce. Kiedy wsłuchiwałem się w JEGO przyciszone i urywane opowieści, przypominał mi się „Pan Tadeusz". Ale Litwą Sowińskiego były Kielce, ubóstwiane, kochane gorąco miasto widziane w szczegółach domów i lasów. Pamiętam, jak przed świętami Bożego Narodzenia płakał, całując grzyby, przysłane przez rodzinę spod Puszczy Świętokrzyskiej. Przywoływało się w rozmowach naszych wspólnych znajomych kielczan. Stylizował tę najbliższą ziemię rodzinną na ziemię obiecaną i ta idealizacja, którą próbowałem nieco korygować, zastępowała MU pustkę wiedeńskiej egzystencji.

Do kraju powrócił w listopadzie ub. r. Powrócił ciężko chory. Już się nie spotkaliśmy. Jeśli istnieje jakaś pociecha w tym, że ludzie muszą tak wcześnie i na zawsze wstępować do ziemi rodzinnej, to Adolf Sowiński wszedł w tajemniczy pogodny sen.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Za portret Józefa Pilarskiego red. Gerard Puciato uzyskał dyplom honorowy na VI ogólnopolskim konkursie fotografii prasowej.

fraszki Jana Czarnego

EPIGRAMAT

Zdaniem jednych epigramat
rzeczą gorszą jest, niż granat

KAZANIE

Poglądy trzeba mieć zdrowe,
pracować trzeba należycie,
ażeby trudności przejściowe
nie trwały całe życie.

PODEJRZLIWY

W głosie anielskiego fletu
też dosłucha się pamfletu.

JAN KOPROWSKI

Kto chodzi do TEATRU?

Łatwiej jest stwierdzić, kto nie chodzi do teatru i odpowiedź na to pytanie byłaby zarazem odpowiedzią na pytanie postawione w tytule. Bezpośrednim bodźcem do napisania niniejszego felietonu stała się ankieta, ogłoszona w poprzednim numerze „Odgłosów". Jedno z pytań ankiety brzmiało: „Które z łódzkich przedstawień 1963 r. uważa Pani (Pan) za najwybitniejsze osiągnięcie?"

Oto charakterystyczna odpowiedź: „Trudno mi odpowiedzieć, nie pamiętam, czy widziałem któryś ze spektakli minionego roku". Nie jest to żaden wyjątek. Nie chodzi do teatru i nie może się wypowiedzieć malarz, niedawny laureat międzynarodowej nagrody księcia Monaco. Ani jednego przedstawienia w r. 1963 nie widziało trzech innych plastyków — wykładowców na wyższej uczelni. Nie był ani razu w teatrze znany krytyk literacki. Poważne luki w znajomości przedstawień ubiegłorocznych stwierdzają u siebie dwaj profesorowie Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej, co zakrawa zgoła na paradoks.

Te głosy w ankiecie były najbardziej charakterystyczne, a dla mnie — mówię to bez żadnej przesady — po prostu wstrząsające. Dowodzą one czarno na białym, że inteligencja twórcza i naukowa nie interesuje się teatrem. Inteligencja ta z natury swego zawodu powołana do kształtowania opinii kulturotwórczej, jest w życiu kulturalnym nieobecna. Chociaż ankieta „Odgłosów" nie upoważnia do snucia daleko idących uogólnień, prowokuje ona do rozprawienia się z pewnym obiegowym mitem, który głosi, że inteligencja wali do teatru drzwiami i oknami, natomiast stronią od niego robotnicy.

Wydaje się, że prawda nie tylko nie leży pośrodku, ale jest zupełnie inna. Obserwacja dowodzi, że z chodzeniem robotników do teatru nie jest tak źle, a z inteligencją — tak dobrze. Dotyczy to zresztą nie tylko przedstawień teatralnych. Literaci nie chodzą na koncerty, malarze nie czytają książek, aktorzy nie oglądają wystaw plastycznych, muzycy nie bywają na odczytach, profesorowie nie odwiedzają teatrów. Należy się zastanowić, dlaczego tak się dzieje. Jakie są tego przyczyny? Czy fakty, unaocznione przez ankietę, mają dowodzić, że w teatrach nie działo się nic ciekawego i nie warto było do nich zaglądać?

Przeczyłaby temu analiza repertuaru. Jeśli w minionym roku teatry nasze grały „Artura Ui" Brechta, „Ten, który dotrzymuje słowa" Gomesa, „Fizyków" Dürrenmatta, „Czerwoną magię" Ghelderodego, „Ladacznicę z zasadami" Sartre'a i jeszcze kilka innych cennych i interesujących pozycji, to zarzut braku ciekawego repertuaru nie wytrzymuje krytyki. Może więc są jakieś inne, głębsze powody? Może mamy tutaj do czynienia ze zjawiskiem alienacji środowisk artystycznych, z ich wyobcowaniem, z poczuciem rozpadu więzi społecznej. A może przyczyn należy szukać w wymiarze psychologicznym. Świat wewnętrzny twórcy jest tak bogaty, życie uprawianą sztuką tak intensywne i absorbujące, że nie odczuwa on po prostu potrzeby poszukiwania innych doznań artystycznych.

Chochlik podszeptuje mi całkiem prozaiczne powody: może nie mają oni czasu, są zapracowani, albo zwyczajnie gonią za zarobkiem na „Wartburga" czy inną „Wołgę". Być może, stoi temu wszystkiemu na przeszkodzie zwykłe lenistwo, Po prostu nie chce się ludziom ubierać, wsiadać w tramwaj, kupować bilet i spełniać wiele innych czynności, na które potrzeba przecież wydatkować tyle wysiłku i energii, pieniędzy nie licząc. Diabli wiedzą, co tu decyduje i rozstrzyga. Fakt pozostaje faktem: inteligencja twórcza żyje w rozproszeniu, nie zna twórczości środowisk pokrewnych, nie interesuje się nimi. Smutne, bo prawdziwe.

Jednocześnie ankieta odsłania inną prawdę. Do teatru uczęszcza „stan średni". Mówiąc: stan średni, mam na myśli ludzi, których zarobki kształtują się na bardzo niewysokim poziomie. Oto księgarz: chodzi na przedstawienia przy każdej okazji, nie stroni również od przeżyć teatralnych, gdy jest na wyjeździe — w innym mieście, zdobywając w ten sposób materiał porównawczy i wzbogacając swoją wiedzę o dramaturgii polskiej i obcej. Oto kierowniczka klubu przy Lidze Kobiet: do teatru chodzi dużo, kocha teatr. Oto pielęgniarka, oto studentka polonistyki, oto pracownik jakiejś łódzkiej spółdzielni. W ankiecie zabrakło odpowiedzi robotników fabrycznych. Rozumiem: nie było wiele czasu, a ankietę trzeba było zrobić natychmiast, inaczej nie spełniłaby zadania podsumowania roku ubiegłego. Ale mogę sobie ten brakujący materiał uzupełnić własnymi obserwacjami. Po dziesięciu latach pracy w teatrze, obserwacji i badaniu widowni, nie muszę uciekać się do cudzych materiałów.

Robotnicy chodzą do teatru, robotnicy lubią teatr, choć nie zawsze jeszcze rozumieją to, co widzą na scenie i choć nie potrafią tego należycie przeżyć i ocenić. Ale pytam, co jest lepsze: wróbel w garści, czy gołąb na dachu? Czy inteligent, który omija teatr z daleka, choćby to był nawet koneser i znawca sztuki, czy ten, co się do sztuki garnie, pragnie ją poznać, zbliżyć się do niej i w niej zasmakować?

Pisałem już o tym kiedyś i powtórzę to raz jeszcze, że teatr bez widza istnieć nie może. Pisarz siada w swoim pokoju i pisze powieść, nie oglądając się na nikogo. Malarz maluje obraz w samotności, kompozytor tworzy nowe melodie sam na sam z fortepianem. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z teatrem. Nie wystarczą aktorzy, nie wystarczy znakomity reżyser i scenograf. Muszą być widzowie na sali. Gdy nie ma widzów, nie ma sztuki teatralnej. Więc widz w teatrze jest na wagę złota. Dlatego rozumny, czuły widz jest tak bardzo pożądany. Dlaczegóż tedy nie idzie do teatru plastyk, żeby robaczyć i ocenić to, co go najbardziej interesuje: scenografię? Dlaczego nie idzie muzyk, żeby posłuchać i ocenić ilustrację muzyczną, wspierającą dzieło? Dla czego nie idzie profesor literatury, żeby przyjrzeć się tekstowi, który w interpretacji aktorskiej pada ze sceny?

A może ten stan rzeczy należy uznać za naturalny, pogodzić się z nim i nie rozdzierać szat. Widocznie nastąpiła zmiana warty: inteligencja opuszcza teatr, a przychodzi doń widz nowy, którego dopiero trzeba pozyskać.

Nawet jeśli przesadziłem cokolwiek, nie miejcie mi za złe. Pisałem o tym, co mnie żywo obchodzi, co mnie pasjonuje, co mi spędza sen z powiek. Któż więc w takiej sytuacji ustrzeże się przesady?

* * *

Redakcja publikuję felieton Jana Koprowskiego, chociaż nie może zgodzić się z wszystkimi jego tezami. Sprawa wydaje się jednak warta dyskusji. Czekamy więc na dalsze w niej głosy.

ZDZISŁAW WALTER.

PORTRET DEKORATORA.

Bestsellery minionego tygodnia

FILM

POLONIA — „Przygoda noworoczna" . . 13 000 widzów
BAŁTYK — „Przeminęło z wiatrem" . 10 000 „

TEATR

NOWY — „Maria Stuart" Słowackiego (2 spektakle) . . . . . 1 000 widzów
„Cyrano de Bergerac" Rostanda (2 spektakle) . . . . . 1 000 „
POWSZECHNY — „Niedźwiedź króla Gniewobora" Sikiryckiego i Sykały (5 spektakli) . . . . . 3 250 „
„Hamlet nie ma racji" Gaspara (2 spektakle) . . . . . 1 000 „

TEATR MUZYCZNY

OPERA — „Verbum Nobile" Moniuszki (1 spektakl) . . . . . 400 „
„Bal maskowy" Verdiego (1 spektakl) . . . . . 600 „
OPERETKA — „Zaczęło się w banku" Kawana (6 spektakli) . . . . . 3 000 „
FILHARMONIA — „Koncert noworoczny" (2 spektakle) . . . . 1 040 „

warto obejrzeć

PROGRAM TV

— W sobotę 11 stycznia wieczorem pojawią się nareszcie w programie telewizyjnym z dawna oczekiwani Dwaj Starsi Panowie. Przyrzekają zaprezentować kilkanaście piosenek ze swego kabaretu pod hasłem minimalistycznym co prawda, lecz nie pozbawionym optymizmu: „Piosenka jest dobra na wszystko".

W liryczno-żartobliwych piosenkach Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego zabłyśnie gwiazda dawno w telewizji nie widzianej Kaliny Jędrusik (podobno złamała rękę, która trudno się zrasta). Barbara Krafftówna wystąpi na przekór autorom noworocznej Szopki Wielokropka, którzy jej kukle odebrali nadzieje na przyszłość w telewizji (rozumowali, że zbyt już jest lubiana i popularna, żeby nie zakłuło to zbyt silnie czyjegoś jaszczurczego oczka). Gwiazdom pań dotrzymają towarzystw sputniki panów Mieczysława Czechowicza i dwóch Wiesławów, Michnikowskiego i Golasa. Ten zespół stworzył już własny gatunek telewizyjnej piosenki aktorskiej. Jej inteligencja zaspokaja przemożny dla małego ekranu głód myśli, którego walory widowiskowe nie mogą równoważyć, bo po prostu nie mają gdzie się rozwinąć. Jest to piosenka subtelnego dowcipu i ulotnej melodii, nucona raczej niż śpiewana, gdyż takie cechy wyznacza jej odbiór w cieplarnianych warunkach domu. Ujawnia paskudną dwulicowość telewizji — masowej, a przecież udającej, że zwraca się do każdego z nas z osobna.

— Na środę, 15 stycznia, zapowiedziany został program innego całkiem rodzaju, inne budzący namiętności ale też specyficznie telewizyjny: transmitowany z Moskwy mecz hokejowy ZSRR — KANADA. Przekazywanie aktualnych wydarzeń w ich naturalnym przebiegu i z własną atmosferą — to praca, do której telewizja powołana jest najbardziej i w której jej odrębność (jako obrazowego środka porozumiewania się ludzi) rysuje się najwyraźniej. Taką odpowiedź na pytanie o specyfikę telewizji przyniosła międzynarodowa ankieta tygodnika „Ekran" rozpisana wśród artystów i uczonych.

I bynajmniej zdolność telewizji do budzenia wzruszeń estetycznych nie jest przy transmisjach meczów ograniczana. Tyle, że dowodu na to nie znajdziemy w naszej praktyce. Dostarczają go znakomite artystycznie zeszłoroczne transmisje z hokejowych mistrzostw świata w Sztokholmie (realizował Bob Elfström).

— Na poniedziałek, 13 stycznia, Teatr TV w Warszawie planuje „Frajera" wg Johna Galsworthy'ego, w reżyserii Tadeusza Byrskiego, realizacji Edwardy Paszkowskiej i scenografii Jana Laube.

Natomiast z całym naciskiem (gdybyś, o biedny telewidzu żywił tu jakieś wątpliwości) radzę oglądać wszelkie pokazywane przez telewizję plansze. I wprawić się w czytaniu przy tym można, i w ogóle przypomnieć sobie słowo drukowane (jak wiadomo, prasy codziennej w Łodzi już skoro świt, brak w kioskach) i podumać nad funkcjonalnością kroju naszych liter, ciesząc się i pusząc, że tak daleko odeszliśmy od prymitywnych, bardzo jeszcze obrazkowych (fuj!) hieroglifów egipskich.

Plansze też są specyficznie telewizyjne dla prostej a przekonywającej przyczyny, którą wyłożyła wielokropkowa szopka. Plansze mianowicie są najtańsze.

TYDZIEŃ w KINIE

Irina Rubanowa, filmolog z Leningradzkiego Instytutu Sztuki zapytana o zdanie na temat filmu „Gdzie jest generał" powiedziała: „Dla nas to jest specjalnie śmieszne, oglądać jak sobie Polacy wyobrażają radzieckiego żołnierza". Można to zdanie zrozumieć dwojako, ale czy to miał być komplement pod adresem polskiego filmu czy wręcz przeciwnie — świadczy ono o wypełnieniu się zamysłu reżyserskiego. Tadeusz Chmielewski, realizując nową komedię założył, że bohaterowie filmu będą postaciami stworzonymi z popularnych pojęć — jaki jest przeciętny Polak i jaka jest przeciętna dziewczyna radziecka. Rezultat ekranowy jest bardzo sympatyczny. Orzeszko i Marusia są sylwetkami bardzo żywymi, pełnymi tak zwanych ludzkich słabości; ale że twórcy filmu obdarzyli swych bohaterów sympatią — w naszych oczach nie mogą im zaszkodzić żadne z licznych, choć dość niewinnych złośliwości pod ich adresem. Perypetie uroczej pary nie byłyby może tak zabawne, gdyby nie dialog. Jest to chyba najlepszy dialog, jaki kiedykolwiek napisany został dla polskiej komedii — pełen subtelności językowych, pełen zrozumienia dla różnych melodii brzmiących w gwarach i dialektach; wspaniale uzupełniające się akcenty: wileński i lwowski są małym odpowiednikiem dialogów prowadzonych po polsku i po rosyjsku; język i akcent wyznaczają drogi działania bohaterów, nieomal warunkują sposób reakcji, stanowią rzadko spotykaną jedność z obrazową partią filmu.

Doskonale jest także w tym filmie aktorstwo. Elżbieta Czyżewska jest tu zupełnie inna niż dotychczas — pełna zasad, wbrew wiekowi i ochocie pryncypialna, strasznie serio — jest jednocześnie lekka i pełna niemal dziecięcego uroku, chciałoby się powiedzieć — zwiewna, mimo długich butów i szynela. Jerzy Turek, Stanisław Milski świetnie pasują do baśniowo-szwejkowskiego nastroju całości filmu. Fotografia jest romantyczna, sławiąca uroki wiosny, życia i miłości. W sumie jest to film bardzo pogodny, optymistyczny i pełen śmiechu.

Na przeciwnym biegunie nastrojów jest „Naganiacz" Ewy i Czesława Petelskich. Jeszcze jeden film okupacyjny — ale niebanalny i nie batalistyczny. Jest to obraz wojny poza frontem, wojny bezlitośnie niszczącej nie tylko życie ludzkie ale i sumienia, zatruwającej umysły tym co pozostali przy życiu. Petelscy rozgrywają dramat sumienia i świadomości w zdecydowanych barwach. Czerń i biel stanowi nie tylko koncepcję plastyczną filmu, ale i filozoficzną. Bohater nie ma możliwości kompromisu, nie danym mu jest przyglądać się wydarzeniom — zdarzenia, same do niego przychodzą i zmuszają go do opowiedzenia się albo — albo; czarne albo białe.

Francuski film „Statek Emila" reżyserii Denysa de la Patelliére jest dramatem społeczno-obyczajowym z happy endem. Główna wartość tego filmu polega na wspaniałej obsadzie aktorskiej. Wśród nazwisk znajdziemy największe sławy aktorskie kilku pokoleń, od Brasseura do Annie Girardot. To co pozostaje poza aktorstwem nie jest specjalną rewelacją, ogląda się jednak bardzo dobrze i z poczuciem właściwie spędzonego czasu.

E. L.

warto posłuchać

10 i 11 stycznia w Filharmonii Łódzkiej dyryguje Henryk Czyż. Dla wtajemniczonych melomanów już to samo wystarcza do podjęcia decyzji pójścia na koncert — niezależnie od tego, jaki będzie program. Bo Czyż należy do tych nielicznych dyrygentów, którzy nie tylko realizują bardzo dokładnie i precyzyjnie każdy szczegół partytury (co zresztą nie jest bynajmniej błahą zaletą), lecz także na każdym utworze wyciskają znamię swej artystycznej indywidualności, ba — wydobywają piękności i „smaki" nie zawsze dostrzegane przez innych, a co najważniejsze, potrafią wytworzyć na estradzie koncertowej ową niewymierną „nadwyżkę" — nastrój autentycznego przeżycia estetycznego.

A to jest z pewnością jedna z cenniejszych w życiu wartości, choć stosunkowo mało upowszechniona. Jakże mało ludzi jest świadomych możliwości doznania tych pięknych wzruszeń jakie daje bezpośrednie słuchanie dobrej muzyki — „na żywo" w sali koncertowej. Dla większości jest to ciągle jeszcze „ziemia nieznana".

W skromnym odcinku „War to tego posłuchać" podjęliśmy się roli przewodnika koncertowego, informującego czytelników o programach imprez muzycznych w naszym mieście — głównie cotygodniowych koncertów symfonicznych.

Program swego gościnnego koncertu w Łodzi zestawił Henryk Czyż z następujących pozycji: V. symfonia B-dur Franciszka Schuberta, I koncert fortepianowy e-moll Henryka Melcera i suita z baletu „Ognisty ptak" Igora Strawińskiego.

V symfonia Schuberta napisana w roku 1816 jest dziełem 19-letniego młodzieńca. Jest to okres niezwykle bujnego rozkwitu talentu kompozytora, który w tymże roku napisał między innymi ponad 100 pieśni, a wśród nich takie arcydzieła jak „Wędrowiec", „Śmierć i dziewczyna", „Pstrąg" i inne. Jest to również okres kształtowania się Schuberta — symfonika, nierozerwalnie zresztą związany z działalnością amatorskiej orkiestry w rodzinnym domu Schubertów „Pod Czarnym Rumakiem" w wiedeńskiej dzielnicy Lichtenthal.

Schubert, wyrastający w cieniu wielkich mistrzów: Haydna, Mozarta i Beethovena pozostaje w swych młodzieńczych symfoniach pod ich wyraźnym wpływem. W IV symfonii c-moll próbuje przemówić językiem Beethovena, w V B-dur — Mozarta. Obie próby są jednak nieudane. Czyżby więc były chybione? Nie — bo oto objawił się w nich indywidualny styl Schuberta, który przyjmując przekazane tradycją schematy formalne, wypełnia je nową, romantyczną treścią. Schubert, najbardziej ludzki z kompozytorów jest przede wszystkim lirykiem, piewcą uczucia. I chociaż w życiu uczuciowym dojrzałego kompozytora dominować będzie „miłość i ból", to przecież młodzieńczy Schubert umie także spontanicznie cieszyć się życiem. Symfonia B-dur jest takim właśnie radosnym intermezzem w jego twórczości. Napisana na niezbyt wielki skład — bez trąbek i kotłów przeznaczona była dla domowej orkiestry „Pod Czarnym Rumakiem", która też wykonała ją po raz pierwszy, co zresztą bardzo chlubnie świadczy o jej poziomie.

Koncerty fortepianowe Melcera bardzo rzadko pojawiają się w programach symfonicznych, co jest tym bardziej dziwne, że są to naprawdę dobre koncerty. Pierwszy e-moll uzyskał pierwszą nagrodę na międzynarodowym konkursie Antoniego Rubinsteina w Berlinie w roku 1895, drugi c-moll w trzy lata później w Lipsku na konkursie ogłoszonym przez Ignacego Paderewskiego.

Bardzo surowy i wymagający krytyk warszawski Aleksander Poliński tak pisał o I koncercie Melcera w roku 1900. "...Koncert Melcera jest... dziełem niezwykle zajmującym, nawet imponującym podniosłością nastroju poetycznego, wielkością i świeżością melodii i formy oraz przewyborną — mistrzowską robotą techniczną. Wysoką wartość tego dzieła, niewątpliwie jednego z najlepszych — jeśli nie najlepszego po obu koncertach szopenowskich podnosi znakomicie ta okoliczność, że wieje z niego duch muzyki swojskiej, zwłaszcza w finale, osnutym na rytmach siarczystego obertasa..."

Renata Humen, nieznana jeszcze w Łodzi młoda pianistka warszawska gra ten koncert według relacji dyr. Czyża (zazwyczaj bardzo powściągliwego w wyrażaniu uznania) podobno rewelacyjnie — z niezwykłą brawurą i swobodą, a ponadto świetnie prezentuje się na estradzie.

Po pogodnym liryzmie Schuberta i wirtuozowskim koncercie Melcera czeka nas w drugiej części koncertu niezwykle barwna, fascynująca przepychem kolorystyki orkiestrowej suita z baletu „Ognisty ptak" Igora Strawińskiego. Libretto baletu oparł kompozytor na starorosyjskiej legendzie o „Nieśmiertelnym Kościeju, księżniczce i Ognistym ptaku. Mając w pamięci świetne wykonanie „Święta wiosny" pod dyrekcją Henryka Czyża — w czasie, gdy był jeszcze kierownikiem artystycznym Filharmonii łódzkiej możemy i tym razem oczekiwać kreacji dyrygenckiej dużej miary.

Z. G.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98, Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa" Łódź Zwirki 17.
Zam. 1 I. F-4